Dziś w numerze: A. HAMPEL **Film po Rewolucji** • J. KOPROWSKI **Listy z Austrii** • T. WOJCIECHOWSKA **„Faust" w Teatrze Wielkim** • K. BADZIAK **Cud w górach** • **Ta dziwna płeć za Kanałem** • **Zewsząd o wszystkim** • **Podejrzliwość**

odgłosu

HONOROWA ODZNAKA M. ŁODZI

44 (624)
2. XI. 1969 r.
Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII

KONRAD FREJDLICH

CZY KONIEC ŚWIATA?

Mimo dynamicznego rozwoju masowych środków przekazu w naszym kraju, książka wciąż jest najbardziej dostępnym i chyba najdoskonalszym narzędziem recepcji narodowych i światowych osiągnięć kultury. Wynalazek starożytnych Sumerów, Asyryjczyków i Babilończyków, którego zasięg społeczny wzrósł niepomiernie dzięki innowacjom Gutenberga umożliwiającym druk książki w milionach egzemplarzy, ostał się próbie czasu. Zagrożenie, jakie miało nadejść ze strony równie rewelacyjnych wynalazków kulturalnego oddziaływania (film, radio, telewizja) okazało się całkowitym mitem, nie tylko bowiem nie wyeliminowały one książki, ale czerpiąc szeroko z literatury, utrwaliły jej autorytet. Mamy już szczęśliwie za sobą „dziecięcą chorobę telewizyjności" i możemy chyba stwierdzić bez posądzenia o tendencyjność, że nie tylko u nas, ale pod każdą szerokością geograficzną, orwellowskie proroctwo zniszczenia wszystkich książek w roku 1984 jest równie chybione jak wszelkie inne przepowiednie o końcu świata. Wydaje mi się to tak oczywiste, że daruję sobie i czytelnikom liczby świadczące o globalnym wzroście nakładów książek w każdym właściwie kraju, jak też daruję sobie kreślenie tej drogi, którą w gigantycznym procesie awansu kulturalnego przebyło nasze społeczeństwo. Przypomnę tylko, że książce przypadła tu rola pionierska i najpoważniejsza.

Znaczenie książki w kulturze socjalistycznej zostało w całej pełni docenione przez nasze państwo, czego wyrazem jest, z jednej strony rozwój sieci bibliotek, z drugiej zaś strony wysiłki, jakie się czyni, aby poszerzyć, zbyt wąskie, w stosunku do naszych wzrastających wymagań, możliwości przemysłu poligraficznego. Sprawy te, łącznie z zagadnieniem mecenatu państwa socjalistycznego nad rozwojem narodowej literatury, były już tyle razy przedmiotem dociekań publicystycznych, że wydawałoby się, trudno wnieść do nich jakiś nowy element. A jednak uciekł nam z pola widzenia akt administracyjny niesłychanej wagi, dowodzący raz jeszcze znaczenia, jakie państwo ludowe przywiązuje do rozwoju kultury w naszym kraju. A umknął nam może dlatego, że ogłoszony został w niezbyt przecież poczytnym urzędowym „Dzienniku Budownictwa" z 17 sierpnia 1968 roku i nosi mało zachęcającą do lektury nazwę „Zarządzenia nr 26 Ministra Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych z dnia 11 maja 1968 r. w sprawie ustanowienia normatywu technicznego projektowania bibliotek publicznych".

Zanim omówimy szerzej postanowienia tego aktu, sięgnijmy po dość charakterystyczny przykład. Otóż przed rokiem mniej więcej, w fachowym czasopiśmie poświęconym problematyce bibliotek, ukazał się artykuł omawiający kompleksowo potrzeby Łodzi w tej dziedzinie na najbliższe lata. Z dołączonych tam danych cyfrowych, które obrazowały sytuację w poszczególnych dzielnicach wynikało, że całkowicie zaspokojony jest już Widzew, gdzie wskaźniki dotyczące liczby wypożyczalni, wielkości księgozbiorów i struktury czytelniczej odpowiadają zapewne obowiązującym normom.

Istnienie stanu idealnego, a tym samym istnienie wzorca godnego popularyzacji, jest zachętą dla publicysty. Nie oparłem się więc pokusie i wraz z kierowniczką dzielnicowej biblioteki panią Wiesławą Piętą, odbyłem rekonesans w tej bibliotecznej Ziemi Obiecanej. Zachęciłbym do podobnej wyprawy autora tamtego artykułu, gdyż może wtedy nie miałyby do-

Dalszy ciąg na str. 4

BOGDA MADEJ

pokój z kuchnią zamienię

Jak wielkie może być przywiązanie do własnego mieszkania, niech świadczy historyjka o panu, który do Łodzi przeprowadził się z Zielonej Góry. To wielkie przywiązanie ujawniało się w chwilach, kiedy ów pan był na rauszu. Zamiast do domu szedł na dworzec i... przytomniał dopiero w Zielonej Górze.

A przecież mimo to, ludzie zmieniają mieszkania, zamieniają i przenoszą się z miejsca na miejsce. Aby się o tym przekonać wystarczy tylko przeglądać codzienne rubryki ogłoszeń w gazetach.

• • •

Że jest to w Łodzi problem dość istotny najlepiej mówią liczby — przybywa nam w ciągu roku ponad 7 tysięcy mieszkań, a obok tego ponad tysiąc osób, zgłasza wniosek o zamianę dotychczas zajmowanego lokalu. Przyczyny są dość proste. Pobierają się młodzi dysponujący oddzielnymi mieszkaniami, rozchodzą się małżeństwa, zbyt daleko jest do miejsca pracy, rodzą się dzieci, staruszkowie zostają w pokojach z nadmetrażem, wreszcie wiele rodzin chce po prostu polepszyć sobie warunki mieszkaniowe. Ilość tych ostatnich wzrosła szczególnie po roku 1966, kiedy ograniczono możliwości uzyskania tzw. mieszkania z kwaterunku. Dążenie do osiągnięcia w domu pełnego standardu wyposażenia jest powszechne, natomiast nie zawsze są chęci i środki, aby skorzystać z usług spółdzielczości mieszkaniowej.

Zamieniają więc ludzie pokój z kuchnią bez wygód na mieszkanie z wygodami, większe na mniejsze, mniejsze na większe, mieszkanie w Łodzi na pokój w Krakowie. Kombinacje są jednak ograniczone. Wprawdzie każdemu zależy aby na zamianie zyskać, a nie stracić, ale ów zysk musi być zgodny z obowiązującymi w wydziałach spraw lokalowych przepisami. Obowiązuje więc przy zamianie mieszkań zasada równorzędności i te same normy powierzchni, co przy otrzymaniu nowego mieszkania. Taki punkt widzenia jest zgodny z interesem społecznym, bo zapobiega możliwościom uzyskania większego i wygodniejszego pomieszczenia poprzez nielegalne transakcje.

Dalszy ciąg na str. 3

ze ŚWIATA

Znów nagromadziło się kilka ważniejszych wydarzeń: Polska wybrana została niestałym członkiem Rady Bezpieczeństwa, W. Brandt został kanclerzem i uformował nowy rząd, w Libanie wybuchł groźny dla jedności arabskiej kryzys. I właśnie o tych wydarzeniach chcemy mówić w dzisiejszym przeglądzie międzynarodowych aktualiów.

Kandydatura Polski do Rady Bezpieczeństwa, wysunięta zgodnie z obowiązującą zasadą reprezentacji geograficznej, spotkała się w ONZ z dużą życzliwością. Na 126 możliwych głosów uzyskaliśmy 121. Rzadko, nader rzadko, zdarza się tak powszechne poparcie. Czemu je zawdzięczamy?

W składzie Rady Bezpieczeństwa Polska będzie po raz trzeci. Jeśli jednak w 1946 roku powszechnym wyborem złożono hołd naszemu krajowi za jego udział w walce z hitleryzmem, a w 1960 roku — po kilku dramatycznych głosowaniach — dzieliliśmy miejsce z Turcją na zasadzie kompromisu, tym razem wybór był niemal jednomyślny. W tym politycznym akcie wobec Polski dopatrywać się więc trzeba uznania dla naszej aktywnej dyplomacji w walce o pokój i bezpieczeństwo narodów. Znane są przecież powszechnie polskie inicjatywy, a zwłaszcza odnoszące się do nuklearnej neutralizacji centrum Europy i zamrożenia zbrojeń. Z uwagą i zainteresowaniem śledzi się w świecie nasze działanie w kierunku doprowadzenia do europejskiej konferencji na temat bezpieczeństwa. Niejednokrotnie z poparciem spotkały się także wysiłki PRL na rzecz rozwinięcia międzynarodowej współpracy, podejmowane w Organizacji Narodów Zjednoczonych i poza nią. Wybór do Rady Bezpieczeństwa jest zatem wyrazem uznania dla polskiej polityki zagranicznej.

Od 1 stycznia przyszłego roku Rada Bezpieczeństwa pracować będzie w następującym składzie:

stali członkowie — ZSRR, USA, Anglia, Francja i Chiny (miejsce to ciągle jest zajmowane przez delegację Taiwanu);

niestali członkowie — Kolumbia, Finlandia, Hiszpania, Nepal i Zambia — z kadencją, upływającą w 1970 roku oraz Polska, Burundi, Sierra Leone, Nikaragua i Syria — z kadencją, upływającą w 1971 roku.

Kraje, wymienione w ostatniej kolejności, wybrane zostały na bieżącej sesji Zgromadzenia Ogólnego.

Warto zwrócić uwagę, że przeciwko kandydaturze Syrii szeroką kampanię rozwinął Izrael. Jeśli nie zakończyła się ona porażką Syrii — jest to dowodem ograniczonych wpływów delegacji izraelskiej na forum ONZ.

Temat nr 2 dzisiejszego komentarza, to wybory kanclerza NRF. Za kandydaturą Willy Brandta padło 251 głosów, przeciwko — 235, 5 z obecnych na posiedzeniu Bundestagu deputowanych wstrzymało się od głosu. Z liczb tych wynika, że koalicyjny rząd SPD—FDP utworzony został zaledwie 2 głosami przewagi (minimalna absolutna większość — 249 głosów) i że 3 deputowanych FDP, a więc partii formującej z SPD nowy gabinet, nie poparło Brandta. Może to być zapowiedzią trudności, jakie napotykać będzie rząd NRF.

Arytmetyka wyborcza nie może jednak przysłonić faktu, że po raz pierwszy w NRF socjaldemokraci doszli do władzy i że po raz pierwszy CDU/CSU znalazła się w opozycji. Rozpoczyna się zatem dla Niemiec zachodnich nowy okres. Zainaugurowała go decyzja o rewaluacji marki.

Wcześniej niż „Odgłosy" dotrą do rąk czytelników znane już będzie z doniesień agencyjnych oświadczenie rządowe Brandta, a więc program działania jego rządu. Dni poprzedzające expose wypełnione były na szpaltach gazet rozważaniami, czy, a jeśli tak — to w jakim stopniu, nowy kanclerz zmieni politykę bońską.

W pierwszej po wyborze wypowiedzi Brandt zapowiedział podpisanie przez NRF układu o nierozpowszechnianiu broni nuklearnej oraz wyraził wolę „pojednania z narodem polskim i poprawy stosunków z państwem polskim". Czy jednak tak się stanie — zależeć będzie nie od słów Willy Brandta, lecz od jego czynów. Zmiana władzy nie oznacza jeszcze zmiany warty...

I temat trzeci — kryzys w Libanie. Wywołany on został ostrzeliwaniem przez wojska libańskie komandosów palestyńskich. Fakt ten wzburzył opinię publiczną we wszystkich krajach arabskich.

Jakie są kulisy nieoczekiwanej akcji wojsk rządowych Libanu?

Tuż przed atakiem na komandosów Stany Zjednoczone udzieliły Libanowi tzw. gwarancji bezpieczeństwa. W ten sposób raz jeszcze ujawniło się ich szczególne zainteresowanie tym krajem. Zachęciło to prawicę, mającą wpływy w środowiskach wojskowych, do próby wyrwania Libanu z frontu solidarności arabskiej.

Przypomnijmy, że do ataku izraelskich samolotów na lotnisko w Bejrucie, (co miało miejsce w grudniu ub. roku), Liban nie angażował się w wydarzenia na Bliskim Wschodzie. Pod wpływem tego ataku doszło do wewnętrznego wstrząsu i powołania nowego rządu, zapewniającego solidarne działanie ze światem arabskim. Prawica libańska, powiązana licznymi nićmi z monopolami amerykańskimi, jak widać, nie dała jednak za wygraną.

Trudno wykluczać w tej sytuacji możliwość wewnętrznych walk.

W. SŁAWSKI

MAREK KRUZEROWSKI

W cieniu ratowniczej wieży

Na łódź ratowniczą można załadować nawet siedem osób, lecz dziś ładowano tylko po pięć. Najpoważniej wyglądający ratownik inkasował pieniądze.

— Tylko dziesięć złotych od osoby, na innych stanowiskach biorą piętnaście — wyjaśniał, gdy komuś wydawało się zbyt drogo.

— Do wioseł — powiedział do innego, który przez lornetkę obserwował plażę.

Tamten niechętnie zszedł z wieżyczki.

Męczące i niewdzięczne zajęcie. Prawie kwadrans trzeba pracować wiosłami, żeby zarobić pięć dziekanek, lecz był to rodzaj długu honorowego, który trzeba spłacić, więc ociągając się wkładał wiosła w dulki, kazał pasażerom usiąść w ten sposób, aby ich ciężar rozłożył się równomiernie, by nie było przechyłu, i by nie zaczerpnąć wody przez burtę. Ludzie siedzieli nieruchomo, przejęci swoją eskapadą. Trzeci z ratowników popychał łódź na płytkiej wodzie, aż bąk leniwie kołyszący się na przybojowej fali i wolno popychany wiosłami, wypływał nieco dalej za czerwoną boję. Wiosła uderzając w wodę opryskiwały siedzących, a skapująca z nich woda utworzyła na dnie łodzi kałużę, w której wszyscy musieli moczyć nogi.

— No, Heniu, ile dziś będziemy mieli? — zapytał ten, który wypchnął łódź.

— Słabo nam dzisiaj leci. Teraz mamy prawie trzy pacz ki, a po południu jeszcze chyba ze cztery wyrobimy. Ty, Lechu, — zwrócił się do tamtego — skocz na przystań i przyprowadź drugą łajbę, na dwie lepiej nam pójdzie.

— Lichy jestem po wczoraj szym — rzekł ratownik nazwany Lechem.

— E tam! Co to było. Dzisiaj, bracie, to będzie bal. Dlatego hajcu trochę by się przydało! Edek z Ryśkiem spadają do Dziwnowa, trzeba ich jakoś pożegnać, no i jakichś dwóch nowych fetniaków przykopsa na ich miejsce.

— Jeden już jest — odezwałem się, bo dotąd nie zwrócili na mnie uwagi.

Potem przedstawiliśmy się sobie, potrząsnęliśmy łapami.

— Chcesz powozić ludzi łajbą? — zapytali.

— Nie dzisiaj. Od jutra dopiero zaczynam robotę.

— Jak sobie chcesz! — odrzekł Heniek.

Leżeliśmy na piachu w cieniu wieży ratowniczej. Jurek ciągle wiosłował, bo chętnych było dużo. Leszek pchał go na pełne morze a Heniek ciągle liczył pieniądze.

Po godzinie wiedziałem już, że większość z dwunastu stanowisk ratowniczych obsadzona jest przez studentów. A oni tu na „trójce" są z Koszalina. Dwóch studiuje na Politechnice w Szczecinie, a Jurek w Poznaniu na Uniwersytecie. Do swojego codziennego słownika wprowadzili modne darownicze odzywki, dziewczyna była z Warszawy i studiowała na SGPiS. Ciągle przytykała swoją rękę do mojej i cieszyła się, że ona jest taka czarna, a ja taki blady.

Przez rozmieszczone wzdłuż całej strzeżonej plaży megafony czyjś przemęczony mówieniem głos zachwalał pieczone kurczaki z rożna, albo Młynarskiego i Brekautów. Tranzystory ułożone u wezgłowia grajdołów podawały wiadomości, a żółta i twarda piłka od siatkówki co pewien czas spadała na wysmarowane kremem twarze. Brzegiem morza leniwie przechadzały się dziewczęta o długich włosach.

Na plaży nic się nie działo. Tylko fale niezmordowanie wlewały się do wygrzebywanych przez dzieci dziur, podmywały piaskowe zamki i fortece ogrodzone wysokim murem i fosą.

O piątej zadyndała na maszcie czarna flaga, znak, że kąpiel wzbroniona, a ratownicy udali się do miasta.

— Mamy osiem pak — zakomunikował Henio, po podliczeniu kasy.

— To dużo, czy mało? — spytałem.

— Średnio — odpowiedział. — No, ale co zrobić, teraz nigdzie nie ma lekko. A od jutra zapuszczam wąchy i włosy — dopiero będę miał dziewczyn — rozmarzył się Henio. — Nie wiesz gdzie by to ożenić? — sięgnął do kieszeni spodni i wyjął coś, co trzymał teraz w zaciśniętej pięści. Powoli otworzył zaciśniętą pięść. Na otwartej dłoni leżały cztery złote obrączki, szerokie i grube.

— Przewaliłem to, takim różnym mężatkom — powiedział z pewnym zawstydzeniem. — Mężatka też kobieta — próbował dodać sobie otuchy. — Jak już miałem być „mąż", to chciałem być taki mąż z obrączką. Że niby legalniej. Uciechy zawsze trochę było. A potem to zapomniałem... no i mam pamiątecz ki.

— Nie mam pojęcia, kto by ci to mógł ożenić.

Idziemy do non-stopu.

Przed Salą Rycerską tłok. Przed kasą — nie. Bilety po dwadzieścia pięć. Koło bramy volkswagen-furgonetka zespołu „Flamengo". Dziewczyny w kusych kieckach i chłopcy z opaskami dokoła głowy, które podtrzymują włosy, żeby wiatr nie rozwiewał, stoją opierając się o furgon i czytają namazane tuszem napisy: Sztokholm, Kolonia, Rzym, Paryż, Kołobrzeg. Heniek wykupuje bilety dla wszystkich. Przepychamy się do Wielkiej Bramy Rycerskiej Sali. W środku setki nóg tupaniem unoszą tumany kurzu ze zbitej z nie heblowanych desek podłogi. Występ trwa. Chłopcy z „Flamengo" mają wspaniałą aparaturę wzmacniającą. Perkusista z włosami do pasa bez wzmacniacza i dwóch przednich zębów bezlitośnie tłucze w czynele. Joan Duggan, solistka z Wielkiej Brytanii, i rozreklamowany utwór Summer Time — choć to nowe i odkrywcze, jednak zupełnie różne od Gershwinowskiego oryginału.

Po godzinie zmieniają ich Brekauci. Kolumny „setki Marshalla", tranzystorowy wzmacniacz „Dynacord", kamera pogłosowa. Mira miota się jak lwica po estradzie, potrząsa grzywą długich włosów. Czasem krzyknie coś do mikrofonu.

W tym krzyku, hałasie i obłędnym rytmicznym tupocie klęka jakaś dziewczyna o bladej, delikatnej twarzy okolonej długimi falującymi włosami. Otacza ją wielkie koło balowników. Ona przez chwilę trwa nieruchomo. Skupiona. Wolno i spokojnie zaczyna poruszać głową, zatacza coraz większe koła. Włosy zamiatają brudną podłogę. Ona pomagając sobie rękoma, to zrywa się z klęczek, to znów opada na kolana, łapie się za głowę, jakby nie mogła znieść już dłużej tego hałasu, tego tłumu. Chłopcy ciągną ją za włosy, popychają. Zabawa trwa. Wiele jest podobnych tańczących kółek. Wiele dziewcząt wyżywających się w niezrozumiałej dla innych ekstazie. Ewa coś krzyczy. Przykładam ucho do jej ust.

— Involvment — wrzeszczy. Tak nazywa to zjawisko energefowski socjolog, asystent pedagogiki w Getyndze, Dieter Baache. Według niego involvment, to dążenie wszystkich do wyżycia się w ruchu i wspólnym tańcu. Aktywny męski zespół bitowy jest dla publiczności czymś w rodzaju projekcji erotycznej, rozładowuje nagromadzone potrzeby w szczytach podniecenia.

Przy wejściu krzyk. Starsza pani w eleganckiej przetykanej srebrem komisowo - pekaowskiej garsonce, biegnie, roztrącając po drodze tańczących, do dziewczyny ze środka koła. Szarpie ją za włosy. Bije po twarzy.

— Wont — wrzeszczy. Poznajemy to po ruchu warg. — Ty... W kole robi się przerwa. Starsza kobieta, jak rozjuszona megiera ciągnie za rękę zapłakaną dziewczynę.

— W ciągu ostatnich trzech lat Bitelsi sprzedali 150 milionów płyt, a co drugi mieszkaniec Ziemi ma mniej niż 28 lat. — Ewa krzyczy mi wprost do ucha — razem z modą na tę muzykę o dziewięćdziesiąt procent spadła przestępczość wśród nieletnich na Zachodzie.

Przyglądam się z uznaniem Ewie. Przydaje się czasami być studentem SGPiS.

Wreszcie wieczorem przychodzimy do Morskiego Oka. Zjawiłem się akurat w momencie, kiedy Edek trzymał w ręku napełnioną do połowy szklankę i zwracał się do zgromadzonych ratowników ze wszystkich dwunastu stanowisk.

— To są dwa najcudowniejsze szumy w życiu ratownika. Jeden to tu — dotknął szklanką głowy, potem szybko wypił to co miał w szklance. A drugi tam — wskazał ręką na połyskujące w ciemności grzywy przybrzeżnych fal.

Zostawiłem ich samych z dwoma najpiękniejszymi szumami w życiu. Trwali tak w bezruchu, od czasu do czasu sięgając po butelkę, by napełnić puste szklanki, i snuli w niekończących się nigdy rozmowach opowiadania o swych zadziwiających czynach i o słodkich kobietach, opowieści utkane z lichej pajęczyny męskich marzeń.

Kiedy wracałem z Ewą w nocy do domu, powiedziała:

— Jutro znów będzie ciężki dzień. Zobacz, ani chmurki, a gwiazdy świecą jak latarnie.

Listy DO REDAKCJI

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Zdziwi Pana zapewne mój list, ale to miał być „spontan" po przeczytaniu Pańskiego artykułu pt. „Płynie wino, grają saksofony". Piekielnie mi się spodobał ten artykuł! Niezależnie od tematu uśmiałam się z określeń.

Szlag mnie trafia, kiedy patrzę na tę naszą bogatą i niezadowoloną młodzież. Nie miałam „pod górkę" do szkoły, ale było ciężko. Pamiętam moje koleżanki z PWSA w Łodzi jak to miałyśmy po jednej przyzwoitej sukience — pranej na święto. Od tatusia pieniążków wziąć nie można było, bo tatuś po powrocie z obozu też nic nie miał! Dobrze, że było darmo mieszkanie. Teatru szkolnego też nie było — zagrało się raz (w kostiumach zorganizowanych własnym przemysłem) w wypożyczonej na parę godzin roli! Chodziło się w takim teatrze pod ścianami, i nisko kłaniało się wszystkim — od sprzątaczki do dyrektora! Jak chcieliśmy urządzić składkowe zebranko, to w piwnicach PWSA — gdzie mieszkały koleżanki. Nikt z nas nie śmiałby wejść do „Artystycznej" — gdzie siadywali aktorzy. A dziś?! Proszę Pana! Szkoda słów!!!

Mam syna 15 lat — chowam go z trudem sama. Staram się wpoić w niego poszanowanie grosza i pracy. Jakże to trudno! Podczas kiedy on dostaje 100 zł na wydatki jadąc na 3 tygodnie na obóz — jego koledzy mają po 500! On chodzi — o zgrozo! — w polskich dżinsach, a koledzy mają „rajfle" z PKO! Kolega jego przyjeżdża do szkoły wartburgiem (sic!), a on ma nowy rower „z przerzutką" za głupie 4500 zł! A jak ja go mam chować!? Z lękiem myślę w czyje ręce wpadnie. Włóczy się mnóstwo dobrze ubranych dziewcząt, pijących wódkę — czekających i zdobywających agresywnie partnera. Dlaczego to jest ciągle paragraf „O"? Niedawno miałam kilka spotkań z poborowymi. Pułkownik opowiadał mi, że wiele matek przychodzi prosząc, żeby syneczka wzięto do wojska. Nie mogą sobie dać z nim rady w domu — nie uczy się, włóczy się z dziewczynami, pije, kradnie pieniądze z domu. Wierzą, że wojsko zrobi z takiego młodzieńca człowieka. A co z tymi „pannami"? Podobno na Kubie dla takich dziewcząt są przymusowe obozy pracy. A co u nas się robi w tym kierunku? Chyba niewiele! Panie Redaktorze! Przepraszam za mój list, ale temat ten nurtuje mnie od dawna. Napisałam za dużo i za mało. Powiedzieć to wszystko byłoby mi łatwiej. Proszę więc wybaczyć formę, ale myśl moja biegła bardzo szybko i trudno mi było ująć ją w karby, i napisać elegancki, porządny list. Przepraszam.

Z poważaniem
AKTORKA
(nazwisko znane redakcji)

W poprzednim numerze „Odgłosów" przy artykule „Karol Hiller — w 30-lecie śmierci" zostało opuszczone nazwisko autora — Antoniego Szrama. Serdecznie za to niedopatrzenie przepraszamy Autora i Czytelników.

W NASTĘPNYM NUMERZE „ODGŁOSÓW":

- **Jazzus Rhythmus — dzikie anioły — ANDRZEJA MAKOWIECKIEGO**
- **Wirtuoz — ANTONIEGO KASPROWICZA**
- **Rosyjska sztuka plastyczna — ANDRZEJA GRUNA**
- **Dwugłos o kinie**

oraz

felietony, recenzje, nowela kryminalna

pokój z kuchnią zamienię

Dalszy ciąg ze str. 1

Jakie są najczęstsze motywy zgłaszanych przez łodzian wniosków o zamianę mieszkania? — Wielu kandydatów pochodzi ze starych, czynszowych kamienic, w których wielkie pokoje o układzie amfiladowym tworzą nadmetraż. Są to przeważnie osoby starsze, często samotne, dla których duże mieszkanie jest niewygodne i zbyt kosztowne. Spory procent stanowią rozwiedzione małżeństwa szukające oddzielnych pomieszczeń. A że sytuacji odwrotnych, takich kiedy ludzie decydują się na połączenie mieszkań, jest trzy razy mniej, nie jest to proste.

Do trzeciej równie potężnej grupy należą ci, którzy szukają wygód. I tu jest kłopot największy, bo chętnych na zamianę w takim układzie trudno znaleźć. Toteż jeśli już do zamiany dochodzi można podejrzewać, że istotną rolę odegrał ekwiwalent pieniężny. Zważywszy zaś, że za uzyskane dodatkowe urządzenia zgodnie z zarządzeniem Ministra Gospodarki Komunalnej z dnia 14 sierpnia 1962 r. trzeba w Wydziale Mieszkaniowym wpłacić: — za urządzenia wodociągowe 2 tys. złotych, za instalację kanalizacyjną 3 tys. złotych, za instalację elektryczną tysiąc złotych, za instalację gazową 1,5 tys. zł, za c.o. 3,5 tys. zł i za łazienkę bez urządzeń kąpielowych 4 tysiące zł — tego typu zamiana jest imprezą dość kosztowną.

Ale mieszkanie jest sprawą pierwszej potrzeby i ludzie płacą. W Wydziale Lokalowym Śródmieścia od roku rozważa się przypadek obywatela B., który chciał usprawnić zamianę mieszkań ze swoim bratem. Jeszcze przed zgłoszeniem wniosku o zamianę zainstalował w lokalu brata gaz, podłączył mieszkanie do sieci wodociągowej i kanalizacyjnej, urządził łazienkę. Kiedy już zamiana została zatwierdzona, obywatel B. dostał z Wydziału Lokalowego pismo z nakazem uiszczenia opłat za wygody, które w wyniku tejże wymiany zyskał. A ponieważ za urządzenia te raz już zapłacił, poczuł się skrzywdzony. Gania więc do dziś z kolejnymi odwołaniami, a Wydział Lokalowy nie widzi dowodów, że istotnie płacił za urządzenia w nie swoim mieszkaniu.

Inny znowu obywatel włosy z głowy rwie, bo przez pewien czas płacił czynsz za starowinę-emeryta, z którym miał dokonać zamiany. Ostatnio wpłacił również umówioną sumę i nic nie stało na przeszkodzie, żeby szykować się do przeprowadzki. Ale staruszek-emeryt czując nad miar gotówki zaczął tęgo popijać, serce nie wytrzymało i umarł. Pieniądze przepadły, mieszkanie też.

Dwa przykłady o charakterze niemal anegdotycznym świadczą nie tylko o braku znajomości podstawowych przepisów prawa lokalowego wśród zainteresowanych, ale także o ciągle istniejącym ogromnym zapotrzebowaniu na mieszkania. W tej sytuacji publiczną tajemnicą jest fakt działalności czarnego rynku i pośredników, zajmujących się ułatwianiem zamiany. Pewien wdowiec, ożeniony powtórnie, zyskując oprócz żony drugie mieszkanie, chciał zamienić oba na jedno większe. Znalazł kontrahenta dysponującego równorzędnym pod względem wygód, ale o większej powierzchni lokalem. Zażądał on ni mniej ni więcej tylko 20 tys. odstępnego. Tego typu transakcjami zająłby się na pewno prokurator, gdyby zechciano go o tym powiadomić. Nie powiadomią go jednak dlatego, że nikt nie chce stracić z trudem znalezionej okazji, a także dlatego, iż przy dalszym szukaniu pojawi się pośrednik, któremu również trzeba będzie zapłacić.

* * *

Jeszcze parę lat temu można było zauważyć sporą grupę ludzi stłoczonych na rogu ulic Więckowskiego i Zachodniej. Była to nielegalna giełda mieszkaniowa.

— A pani co ma — pyta typ w czarnym, wyświechtanym prochowcu.

— Pokój z kuchnią w jednorodzinnym i kawalerkę w blokach — odpowiedziałam niezgodnie z prawdą.

Po kilku bardziej szczegółowych pytaniach typ zniknął, by za chwilę przyprowadzić ze sobą tęgą panią w skórzanej kurtce.

— Tu by wam pasowało — oznajmił — ta pani ma trzy pokoje.

— Nie pasowało, bo metraż okazał się nieodpowiedni i typ przestał się nami interesować, kierując się ku nowemu w tym gronie mężczyźnie.

Jeśli czytelnicy sądzą, że jest to dialog sprzed lat, muszę ich wyprowadzić z błędu. Rozmowa toczyła się niedawno pod drzwiami Biura Pośrednictwa Zamiany Mieszkań powołanego w lutym 1968 roku w celu zlikwidowania nielegalnej giełdy z rogu ulic Więckowskiego i Zachodniej.

Fot. A. Zakrzewski

* * *

W roku 1968 Biuro Pośrednictwa Zamiany Mieszkań załatwiło 371 wniosków, w tym 45 dotyczyło zamian zamiejscowych, w roku bieżącym 390 miejscowych i 77 z innymi miastami. Pośrednictwo Biura jest odpłatne. Przy wpisie klient wpłaca 100 zł, po czym jego ogłoszenie bez podania dokładnego adresu wędruje do odpowiedniej rubryki na tablicach wywieszonych w korytarzu. Jeśli znajdzie się kandydat na jego mieszkanie, biuro zgłasza wniosek do odpowiedniego wydziału lokalowego, a klient dopłaca jeszcze 400 złotych w wypadku zamiany miejscowej i nieco więcej, jeśli zamiana dotyczy innego miasta. I tak zamiana w promieniu 50 km kosztuje 500 zł, a od 50—100 km — 700 zł, w promieniu ponad 100 km opłata wzrasta do tysiąca złotych. Jeśli w okresie półrocznym odpowiedni kontrahent nie znajdzie się, zgłoszenie traci ważność. Trudno mówić o terminie załatwiania wniosków. Najkrótszy wynosi 2—3 tygodnie. Najdłuższy...

— Moje już zdjęte — stwierdziła starsza pani przeglądając nieco już pożółkłe i jeszcze zupełnie świeże tasiemki ogłoszeń. — Pół roku przeszło i nic.

— Czy pani zapisze się jeszcze raz?

— A po co? Żeby jeszcze raz zapłacić 100 zł? Dam lepiej ogłoszenie do gazety.

* * *

Nie chcę w niczym umniejszać zasług Biura Pośrednictwa Zamiany Mieszkań, ani też walorów społecznych działalności jego pracowników. Ale wydaje się, że przy jego powoływaniu pewne sprawy nie zostały przemyślane do końca, czego najlepszym przykładem jest giełda, która w momencie założenia Biura zyskała dach nad głową. Nawet przy największych staraniach trzy osoby składające się na owe Biuro nie są w stanie wyszukać odpowiednich kontrahentów i większość ofert wisi na tablicy ogłoszeń, czekając, aż znajdzie się ktoś zainteresowany.

Z drugiej strony działają przecież wydziały lokalowe przy DRN, gdzie terminy załatwiania wniosków o zamianę mieszkań są mniej więcej takie same, a przeprowadzenie sprawy — bezpłatne. Skoro więc już mamy Biuro, chyba słuszniej byłoby zorganizować je na zasadzie wyłącznej działalności, tak, aby przejęło ono wszystkie sprawy zamiany mieszkań w mieście. Korzyści byłoby kilka. Zostałyby odciążone wydziały lokalowe, które i tak mają wiele pracy choćby z samymi spółdzielcami. Powiększyłyby się możliwości lepszego jakościowo i ilościowo kojarzenia odpowiednich wniosków przez pracowników Biura Pośrednictwa. Musiałaby ulec zmianie również praca samego Biura. Już nie trzy osoby, ale odpowiednio zwiększona grupa pracowników przejęłaby całkowicie wyszukanie partnerów do zamiany mieszkań, łącznie z podaniem ogłoszenia do gazety, jeśli by sprawa tego wymagała. Klienci nie musieliby sami wybierać właściwych ofert z tablicy ogłoszeń, ale po prostu czekaliby na zawiadomienie o załatwieniu swojego wniosku. Opłaty miałyby wtedy większe uzasadnienie, a pośrednicy zarabiający pod bokiem, a raczej pod drzwiami Biura musieliby poszukać innej pracy.

* * *

Długo jeszcze zapotrzebowanie na mieszkania będzie przerastać możliwości budownictwa i ludzie będą chcieli polepszyć sobie warunki mieszkaniowe poprzez zamianę. Nowy i pełniejszy charakter działalności Biura Pośrednictwa Zamiany Mieszkań nie tylko podniósłby jego społeczną rangę. Przede wszystkim w większym stopniu pomógłby w rozwiązaniu problemu mieszkaniowego Łodzi. Nie byłby to wprawdzie sposób radykalny, ale i taka pomoc ma w naszych warunkach swoje znaczenie.

BOGDA MADEJ

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

Antyczność i okupacja

Fascynacje Anny Kamieńskiej kulturą świata antycznego znane są czytelnikowi głównie z lektury jej wierszy, nasyconych tematyką mitologiczną, historiozofią, problemami natury bardziej etycznej aniżeli estetycznej. W śródziemnomorskiej antyczności poetka szuka i wydobywa te wartości moralne, które przetrwały do dziś i które są dla nas istotne. Nie tylko w jednym kierunku zdążają zainteresowania autorki „Rzeczy nietrwałych". Kultura antyczna w swej, bez późniejszych nalęciałości, czystej postaci jest piękną skamieliną, mającą wartość historyczną. Stąd trzeba ją nieustannie kreować, i jak to czyni Kamieńska, przewartościowywać ówczesne pojęcia z nauki o moralności dając tym samym podwaliny nowej, współczesnej etyce.

Już samą kompozycją utworu „Rozmowy z profesorem Daleczko" *) przypominają nieco antyczną literaturę sympotyczną, są nie tyle powieścią, ile zbiorem krótkich esejów (małych form prozy poetyckiej?) o wspólnej tematyce, gdzie wątek fabularny uproszczony został do minimum. Twórcza wiedza z zakresu historii i literatury starożytnej pozwoliła autorce na to, żeby antyczność ukazać nie w szczątkowej, analitycznej, lecz syntetycznej, esencjonalnej postaci. Niezwykle skondensowana wypowiedź narratorska kryje w sobie wiele sentencji, aforyzmów i poglądów, obok których każdy, chociażby w minimalnym stopniu zaangażowany w sprawy współczesnego humanizmu, nie może przejść obojętnie. Naczelne miejsce w rozważaniach narratora i bohatera zajmuje kultura (a więc w tym i sztuka) jako wytwór świadomości ludzkiej. Ongiś Gottfried Benn powiedział, że „sztuka to budowanie mostów nad rzekami, które przemijają". Tym mostem spinającym brzegi heraklitejskiej rzeki jest osoba Daleczki, profesora filologii klasycznej i historii starożytnej. Postać robi początkowo wrażenie istoty anachronicznej, nie mającej żadnej racji bytu nie tylko w rzeczywistości okupacyjnej, ale w ogóle w całym dwudziestym stuleciu. Uczeń na mistrza patrzy częstokroć z pobłażaniem, i z lekkim humorem na jego dziwactwa; wydaje się, że uczeń ów jest górą, zwycięzcą czasu okupacyjnego, nosi się przecież z zamiarem wstąpienia do partyzantki, gdy tymczasem profesor nieustannie nurza się w morzu faktów, wydarzeń, mitów sprzed dwóch tysiącleci. Prawie nigdy profesor Daleczko nie czyni aluzji do teraźniejszości. Tkwi w dawnym, ale czy martwym dla niego świecie?

Pasja wchłaniania wiedzy o społeczeństwach, które stanowią podstawę europejskiej cywilizacji, poszukiwanie w pogańskich wierzeniach starożytnych i filozofii tamtego czasu stałych zasad moralnych — wszystko to zadecydowało o tym, że w dantejskim piekle okupacji potrafił profesor utrzymać spokój, naturalnemu ludzkiemu niepokojowi nadał naturalny ład. I choć czytelnik jest świadkiem, jak wiara i zwątpienie w Daleczce przeplatają się nawzajem, to jednak wie, że jest to wiara epikurejska, a zwątpienie nie egzystencjalistyczne lecz pogodne, sokratejskie. Sprawą otwartą pozostaje to, czy postawę profesora Daleczki możemy uznać za walczącą, czy też nie. Problem ten najlepiej rozwiązuje rozmowa profesora z oficerem Gestapo na temat schyłkowego etapu Cesarstwa Rzymskiego, a zwłaszcza dyskusja wokół poglądów Juliana Apostaty. Profesor wysuwa w rozmowie na czoło sprawę prześladowania chrześcijan przez cesarza-odstępcę, czyniąc tym samym aluzję do polityki okupanta. W ogóle uczniowi swojemu daje taki obraz świata starożytnego, który dość wiernie pokrywał się z wojenną rzeczywistością. Nie wybiela antycznej przeszłości słońcem południa, nie szuka wcale piękna estetycznego, ukazuje jej obraz całkiem zwykły, w ludzkich wymiarach, tak, że w końcu przedmiot zainteresowania staje się już nie tylko dla mistrza, ale też i ucznia narzędziem walki ze złem okupacyjnym. Dystans dzielący profesora od narratora powoli zaciera się, aż w końcu następuje scalenie duchowe tych postaci. I wtedy już po dokonaniu wyboru moralnego, ukształtowaniu światopoglądu uczeń może założyć mundur.

Zadziwiający jest uniwersalizm tej książki, gdzie na stu czterdziestu stronach małego formatu Kamieńska dotknęła wszystkich istotnych zagadnień współczesnej humanistyki, począwszy od etyki, poprzez poezję, prozę, historię aż do muzyki. Uosobieniem uniwersalnego humanizmu jest Daleczko, który ogromną swoją erudycję uważa jedynie jako „zwykłą uprzejmość wobec świata". Niestety, jest on już ostatnim z tych wielkich ludzi na miarę czasów Odrodzenia. Autorka rozpościera nieco katastroficzną wizję współczesnego humanizmu; specjalizacja następuje nie tylko w nauce, ale i sztuce. Dzisiejsza twórczość artystyczna, zdaniem Kamieńskiej, daje świat w szczątkowej postaci, nie jest na tyle silna, ażeby zdobyć się na syntezę etyczną obecnej rzeczywistości. Zakres poruszonych problemów, kompozycja utworu wszystko wskazuje na to, że Kamieńska podjęła się nader ważnego obowiązku artysty: scalić to, co rozbite.

Książka dedykowana jest „nauczycielom czasów wojny i konspiracji", jest próbą innego spojrzenia na okupację i na człowieka z nią walczącego, który wprawdzie nie zabija wroga, ale **zaszczepia pełne człowieczeństwo na młodej latorośli ludzkości.**

*) Anna Kamieńska, „Rozmowy z profesorem Daleczko". Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1969, s. 140, cena 10 zł.

Czy koniec świata?

Dalszy ciąg ze str. 1

stępu na łamy prasy wątpliwej jakości rewelacje. Modelowy obraz nie był bowiem zbyt budujący.

Łódzka dzielnica Widzew ma swoją specyfikę. W ostatnich latach wskutek rozbiórek i wyburzeń domów, w małym stopniu kompensowanych nowym budownictwem, obserwujemy tu dość znaczny odpływ ludności do innych rejonów miasta. Mimo natężenia procesów migracyjnych liczba wypożyczalni książek utrzymuje się na tym samym poziomie. Łącznie z biblioteką dzielnicową jest ich tutaj dziesięć, księgozbiory zaś przekraczają 100 tysięcy woluminów.

Statystycznie więc sytuacja przedstawia się wyjątkowo korzystnie, a optymalne w skali miasta wskaźniki poprawiają się jeszcze z dnia na dzień, skoro odpływ ludności trwa. Na każdego, bez wyjątku, mieszkańca Widzewa przypada więcej niż jedna książka w wypożyczalniach. Uwzględniając liczbę rzeczywistych czytelników okazuje się, że na każdego z nich czeka aż siedem pozycji katalogowych. Znając niedostatki księgozbiorów w skali całego miasta, może ktoś wyciągnąć wniosek, że na Widzewie zapanowała rozpusta. Ale spojrzeć tutaj trzeba nie poprzez wyjątkowo optymalne wskaźniki, tylko poprzez katastrofalne warunki lokalowe widzewskich bibliotek uniemożliwiające pełne wykorzystanie zasobnych księgozbiorów. Spotykamy bowiem tutaj wypożyczalnie książek umieszczone w barakach i suterenach, a jedyny lokal z nowego budownictwa jest tak ciasny, że nie nadaje się właściwie na bibliotekę. Dość powiedzieć, że brak zaplecza i szczupłość pomieszczeń zmusiły bibliotekarzy do ustawienia regału w miejscu tak mało reprezentacyjnym, jak wychodek. Nic też dziwnego, że inspektor pracy ZZPK wydał nakaz przeniesienia lub zamknięcia czterech widzewskich wypożyczalni książek dochodząc do wniosku, że warunki pracy, układ funkcjonalny i wielkość powierzchni użytkowej nie odpowiadają w nich wymogom obowiązujących przepisów i zasad. Gdyby te przepisy i zasady zastosować w sposób bezwzględny, czytelnictwo na Widzewie uległoby zupełnej likwidacji.

Wiedzą o tym dobrze władze dzielnicy i robią wszystko, co w ich mocy, aby zapobiec najgorszemu. Przypomina to jednak kwadraturę koła. Dodatkowe fundusze, hojnie wydatkowane na rozszerzanie księgozbioru i nowy sprzęt, poprawiają wskaźniki, a tym samym jeszcze bardziej podbarwiają statystyczny obraz na różowo. Próby przeniesienia najbardziej zagrożonych bibliotek do innych pomieszczeń także na razie zawodzą. Wprawdzie podjęto odpowiednie decyzje, ale wystarczył sprzeciw właścicielki mieszkania sąsiadującego z przyszłą biblioteką, aby brygada remontowa zwinęła swoje kielnie i piony nie podejmując żadnych prac. Nowe wyposażenie biblioteki niszczeje więc od roku w jakichś przygodnych magazynach.

Wszystkie nadzieje na poprawę sytuacji wiąże się na Widzewie z nowym budownictwem, które wkroczy do dzielnicy w najbliższych latach. Przyrost ludności osłabi nieco przesłodzoną wymowę wskaźników i pozwoli zapewne wyraźniej przemówić realnym faktom. Wówczas poważne potrzeby Widzewa w dziedzinie bibliotek wywoływać będą mniej zdziwienia nawet wśród profanów.

Te krzyczące potrzeby władze dzielnicy skalkulowały ostrożnie na 4 nowe budynki biblioteczne. Władze nadrzędne uznały to za przesadę i plany zredukowano do trzech nowych wypożyczalni. Ale w momencie podejmowania tych decyzji ujawniły się przy okazji jeszcze głębsze różnice pomiędzy gospodarzami Widzewa, a Wydziałem Kultury m. Łodzi. Aby je wyjaśnić

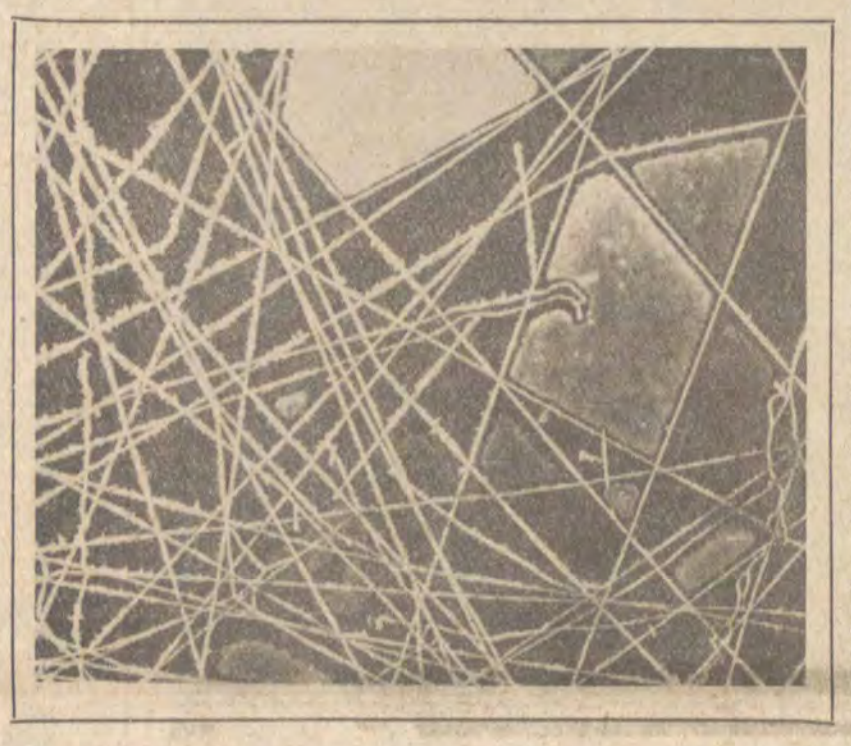

trzeba odwołać się do wspomnianego już przeze mnie „Zarządzenia nr 26 ministra budownictwa".

Na wstępie odnotujmy, że stanowi ono prawdziwy przełom w dziedzinie inwestycji kulturalnych. Jego postanowienia mają bezwzględną moc obowiązującą, a wszelkie odstępstwa od normatywu wymagają zgody ministra budownictwa udzielanej tylko na uzasadniony wniosek ministra kultury i sztuki. Nic zresztą dziwnego, gdyż „Zarządzenie nr 26" jest wyrazem tych tendencji w polityce kulturalnej naszego państwa, które znalazły pełne potwierdzenie w uchwałach II Plenum PZPR. Charakteryzuje je myślenie perspektywiczne w oparciu o głęboką, rzetelną znajomość realiów.

Postanowienia dotyczące normatywu technicznego projektowania bibliotek obejmują całokształt zagadnień, dotyczą bowiem nie tylko wymagań funkcjonalnych, wielkości powierzchniowych, warunków użytkowo-budowlanych oraz wyposażenia budynków bibliotecznych a nawet poszczególnych pomieszczeń w tych budynkach, ale **kodyfikują je dnocześnie zasady wymagań programowych.** Tak więc rozstrzygają, że zadaniem bibliotek jest z jednej strony udostępnianie na miejscu lub wypożyczanie do domu będących w ich posiadaniu księgozbiorów, z drugiej zaś strony, zacytuj my dosłownie „udzielanie informacji oraz organizowanie różnych prac kulturalno-oświatowych", jak zespoły samokształceniowe, wystawy, odczyty, wyświetlanie filmów (nie wymagających wydzielonej kabiny projekcyjnej) itp., wynikających z zadań statutowych biblioteki". **Dopiero bowiem pełne skojarzenie tych funkcji może uczynić z biblioteki pełnowartościową placówkę kulturalno-oświatową.** Z tych założeń wynikają określone konsekwencje dotyczące wymaganej liczby czytelników korzystających z jednej biblioteki, liczby miejsc w czytelniach, liczby woluminów dostępnych w każdej chwili i umieszczonych w magazynie, oraz wielkości powierzchni użytkowej biblioteki. Nie wgłębiając się w szczegóły zauważmy tylko, że „Zarządzenie 26" wyodrębnia sześć grup bibliotek przyjmując jako kryterium takiego wyodrębnienia ich wielkość, która uzależniona jest od liczby mieszkańców rejonu bezpośredniej obsługi. W warunkach łódzkich odpowiada to bibliotekom IV grupy.

Tego rodzaju biblioteki powinny w myśl normatywu posiadać nie tylko wyodrębnioną wypożyczalnię książek i czytelnię oraz magazyny, ale także osobne pokoje dla zespołów samokształceniowych, dla kierownika placówki, wreszcie pracownię biblioteczną, pokój dla instruktorów, nie mówiąc już o hallach, szatniach i pomieszczeniu dla katalogów. Jest rzeczą zrozumiałą, że taka liczba pomieszczeń pomieścić się może dopiero na stosunkowo dużej powierzchni, toteż w odniesieniu do interesującej nas grupy bibliotek „Zarządzenie 26" przewiduje powierzchnię użytkową całości w granicach od 615 do 703 metrów kwadratowych. I właśnie ta sprawa zaznaczyła wyraźnie różnicę stanowisk pomiędzy gospodarzami dzielnicy widzewskiej, a ich władzami zwierzchnimi na szczeblu miasta. Mimo podjętej przez władze dzielnicowe uchwały przewidującej, że nowo wznoszone biblioteki odpowiadać będą na Widzewie normatywowi przyjętemu w „Zarządzeniu 26" dla IV grupy tych placówek kulturalnych, władze miejskie, zatwierdzając ich plany, poważnie zredukowały powierzchnię użytkową nowych obiektów przyjmując za uzasadniony normatyw odpowiadający właściwie II grupie bibliotek. **Tego rodzaju obiekty, znowu zgodnie z postanowieniami „Zarządzenia 26", w całej Polsce wznoszone będą w większych gromadach lub też miasteczkach nie przekraczających 5000 ludności.**

Przyznam się szczerze, że w pełni doceniając wysokie koszty nowych inwestycji, nie mogę jednak zrozumieć dlaczego sami traktujemy Łódź, ogromny ośrodek przemysłowy, miasto wyższych uczelni, siedzibę wielu stowarzyszeń twórczych, jak, powiedzmy, Koluszki. Nie chodzi mi tu zresztą o sam tylko prestiż. Nie ulega przecież wątpliwości, że centralne opracowanie normatywu nowych bibliotek miało na celu uczynienie z nich prężnych ośrodków kulturalnego i ideowego oddziaływania, rzecz wcale znów nie taka obojętna w świecie podzielonym na obozy. Nie ulega też wątpliwości, że opracowanie normatywu bibliotek wychodzi naprzeciw rosnącym potrzebom społecznym w dziedzinie czytelnictwa. Ten proces kulturalnej i ideowej edukacji nie może natrafiać ani na przeszkody ani też na przestoje. Jego znaczenie wyjaśniono chyba dostatecznie w czasie toczącej się od miesięcy na łamach prasy dyskusji o internacjonalistycznym charakterze naszego patriotyzmu oraz przy bilansowaniu szkód, jakie naszej narodowej świadomości wyrządzają z jednej strony ośrodki ideologicznej dywersji, z drugiej zaś wyrządzały w przeszłości wątpliwego autoramentu zabiegi manipulacyjne rodzimych rewizjonistów. I chociaż orwellowska wizja zagłady książek w r. 1984 zupełnie nam nie zagraża, nie mamy prawa zaniedbywać ani jednej szansy, jaką otwiera przed naszym społeczeństwem nowa polityka kulturalna partii. Co więcej obowiązkiem naszym jest dopilnowanie, aby realizowana była ona konsekwentnie i w pełnych wymiarach.

KONRAD FREJDLICH

POLONICA

OSKAR JAN TAUSCHINSKI

Jednym z najlepszych znawców literatury polskiej w Austrii jest Oskar Jan Tauschinski. Przed wojną ukończył on polskie gimnazjum w Gdańsku, a w kampanii wrześniowej walczył po stronie polskiej. Jest on tłumaczem wielu polskich sztuk teatralnych, współtłumaczem (wraz z żoną Heleną Lars) antologii wierszy Mickiewiczowskich w setną rocznicę śmierci poety (1955). W tymże 1955 roku wydał Oskar Jan Tauschinski powieść dla młodzieży o Marii Curie-Skłodowskiej pt. „Wer ist diese Frau?" (Kim jest ta kobieta). Obecnie wydał on zbiór polskich bajek pt. „Der Juengling im Baumstamm" (Młodzieniec w pniu drzewa), gdzie znajdują się najbardziej znane w Polsce baśnie o Twardowskim, diable Borucie, Madeju i wiele innych. Autor w opracowywaniu tych bajek oparł się — jak sam podaje — na zbiorach Balińskiego, Glińskiego, Kolberga, Kraszewskiego, Lompy, Wasylowskiego, Wójcickiego i Zmorskiego. Bajki te, wydane na wspaniałym papierze w sztywnej płóciennej oprawie, stanowią prawdziwy rarytas edytorski.

POLSKIE AKCENTY

Niemiecki kompozytor Georg Philipp Telemann (1681—1767) jest dziś twórcą niemal zapomnianym. W okresie przedklasycznym uchodził on za najwybitniejszego artystę swoich czasów, ceniony by' bowiem wyżej niż J. S. Bach. Przebywając jakiś czas w naszym kraju wyraził się później, że „polska pieśń zdoła rozruszać cały świat". Nic też dziwnego, że elementy polskiego stylu znajdujemy w jego licznych kompozycjach.

Aktualnie na rynku szwajcarskim ukazała się płyta gramofonowa. „Polska muzyka ludowa w dziełach G. Ph. Telemanna". Zawiera ona koncerty i sonaty w rytmie poloneza, które wykonuje zespół Capella Academica z Wiednia pod dyrekcją Kurta Redela. Solistą jest skrzypek Eduard Melkus.

K.F.

POLONICA

KAROL BADZIAK

CUD W GÓRACH

Mowa tu będzie o cudzie, a raczej o potrzebie polskiego cudu szczególnie zaś w dziedzinie rekreacji. Wiek XX nazwał ktoś wiekiem cywilizacji pracy i cywilizacji wypoczynku. W Krakowie wyciągnięto z tego konsekwencje do końca.

Władze wojewódzkie, jako pierwsze w kraju opracowały długofalowy program rozwoju turystyki i wypoczynku w regionie krakowskim, aż do roku 1980. Burzliwą improwizację zastąpiono rzeczowym planem Nie jest to oczywiście przypadek.

Koncentracja walorów rekreacyjnych jest w tym województwie najwyższa w kraju. Według stosowanej klasyfikacji atrakcyjności terenów turystycznych Polski, region krakowski obejmuje 50 proc. terenów zaliczanych do kategorii pierwszej. Odwiedza go rocznie w celach turystycznych i wypoczynkowych 12 milionów ludzi, a więc co trzeci Polak.

Polska wprawdzie nie osiągnęła jeszcze należnego jej miejsca w turystyce międzynarodowej lecz pod względem turystyki krajowej znalazła się na jednym z pierwszych miejsc w świecie. Krakowskie natomiast na pierwszym miejscu w Polsce.

By zilustrować ten współczesny ruch Nomadów podam, że obecnie wędruje po świecie w ciągu roku ponad 120 milionów ludzi. W Polsce z turystyki wewnętrznej korzysta około 50 milionów osób. Turystyka przybrała formy tak masowe, że żaden kraj w Europie po drugiej wojnie światowej nie był do tego przygotowany. Niemniej część krajów europejskich, gdyż jest to przede wszystkim zjawisko europocentryczne szybko przeorientowała się na turystykę, czerpiąc z tego maksymalne korzyści.

Sprawa turystyki zagranicznej w Polsce, mimo stopniowego rozwoju, jaki jest widoczny, szczególnie w ostatnich latach, nie wygląda jeszcze najlepiej. Wprawdzie w 1968 roku Polskę odwiedziło blisko 2 miliony turystów zagranicznych (o 27 proc. więcej niż w 1967 roku), jednak nadal wpływy dewizowe z tego tytułu nie przekraczają 0,6—0,8 proc. wartości naszego eksportu. Wskaźnik ten daleko odbiega od przeciętnej światowej i od naszych możliwości w dziedzinie turystycznej.

Mamy Tatry, Karkonosze, Bieszczady, Bałtyk, jeziora. Mamy liczne uzdrowiska o charakterze rekreacyjno-sanatoryjnym, mamy wiele zabytków o światowej renomie i wysokiej randze historycznej, mamy pomniki przyrody, rezerwaty o specyficznym środowisku flory i fauny oraz inne obiekty, które stanowią o turystycznej atrakcyjności kraju. Nie mamy natomiast jeszcze odpowiedniego wyposażenia, a przede wszystkim bazy turystyczno-hotelowej.

W latach 1960—68 liczba turystów zagranicznych wzrosła u nas dziesięciokrotnie, podczas gdy w okresie tym liczba miejsc w hotelach zwiększyła się zaledwie około 25 proc. Okazało się przy tym, że inwestycje na potrzeby turystyki zagranicznej są bardzo rentowne, mimo wysokiego standardu i kosztów ich budowy.

Pogląd jakoby kraj nasz ze względu na krótkotrwałe lato nie wytrzymywał konkurencji z krajami o cieplejszym klimacie jest dość powierzchowny, choć niestety, rozpowszechniony. Bałtyckim plażom faktycznie dość trudno rywalizować z plażami Morza Czarnego. Mamy natomiast malownicze góry o urozmaiconym klimacie, bogatej konfiguracji terenu, jeszcze bogatszej szacie roślinnej, o dużym nasłonecznieniu stoków, no i o wyjątkowej ilości źródeł leczniczych, dotychczas nie wykorzystanych należycie. Pod względem narciarskim, turystycznym i uzdrowiskowym nasze górskie tereny niewiele ustępują terenom alpejskim. Jeśli chodzi o uzdrowiska, Polska ma wszelkie szanse by stać się sanatorium Europy. Rzecz jasna wymaga to wysokich inwestycji. Ale praktyka wykazuje, że inwestycje w przemyśle wypoczynkowym amortyzują się jeszcze szybciej niż w przemyśle lekkim.

Dla woj. krakowskiego obejmującego przeważnie obszary górskie przemysł turystyczno-wypoczynkowy jest właśnie „przemysłem ciężkim". Pojęcie sezonowości w regionie krakowskim prawie nie istnieje. Krakowskie w mniejszym również stopniu, niż inne regiony uległo chaotycznej i dewastatorskiej zabudowie wielu ośrodków wczasowych. Run na tworzenie własnej bazy wypoczynkowej przez zakłady pracy, spowodował w całym kraju wiele błędów w tej dziedzinie. Brak centralnego programu i koordynacji stał się przyczyną żywiołowości. Wyniki znamy: rozsiane wzdłuż nadmorskich plaż, nad jeziorami i na poboczach gór domki-krasnoludki, nie wyposażone w odpowiednie zaplecze żywnościowe i higieniczne.

Sprawą istotną stała się deglomeracja i lokalizacja nowych ośrodków. Dotychczasowa polityka, a raczej jej brak przyczyniła się do zeszpecenia takich m. in. miast, jak Zakopane czy Krynica. Zatraciły one funkcję uzdrowisk. Myśli się już o przeniesieniu sanatoriów z Zakopanego do innych miejscowości. Wystąpiło zjawisko nierównomiernego nasycenia poszczególnych regionów turystyką i związanymi z nią inwestycjami. W jednych rejonach nastąpiła nadmierna koncentracja frekwencji, drugie dysponują dużymi, nie wykorzystanymi rezerwami. W woj. krakowskim do okolic posiadających rezerwy należą powiaty: Limanowa, Sucha, Żywiec, Nowy Sącz oraz enklawa orawska. Tereny te wcale nie ustępują innym okolicom pod względem wartości krajobrazowo-klimatycznych.

Na zaproszenie wojewódzkich władz partyjnych w Krakowie wspólnie z kolegami po piórze przebywałem ostatnio na tych terenach, ażeby bliżej zapoznać się z warunkami wypoczynku w wymienionych powiatach. O uroku i malowniczości gór nie ma sensu się rozpisywać. Tereny te

JAN KOPROWSKI

LISTY Z AUSTRII

List trzeci (ostatni)
w którym autor pisze o sprawach kultury

Austriacy bardzo lubią teatr, zwłaszcza operowy, chętnie chodzą na koncerty muzyki poważnej i lekkiej, ale książek czy tają mało i jeszcze mniej ich kupu ją. We wrześniu prasa uderzyła na alarm: „Niezwykle zawstydzające wyniki przyniosła analiza rynku, dokonana przez Instytut Badawczy doktora Fessla: tylko 37 procent an kietowanych Austriaków przeczyta ło w ciągu ostatniego roku jakąś książkę, a u 42 procent badanych okres ten rozciąga się na dłużej niż rok. Najwyższa ilość czytają cych (ale niezbyt imponująca, bo tylko 35 procent) rekrutuje się spo śród pracowników umysłowych. Rzemieślnicy czytają mało (26 pro cent), a robotnicy jeszcze mniej (16 procent spośród przepytanych). Na wet w środowisku maturzystów i akademików — jak donosi wspom niany Instytut — regularnych czy telników mamy tylko 54 procent, zaś 70 procent wszystkich objętych ankietowaniem, nie potrafiło wy mienić nazwiska autora przeczyta nej przez siebie książki. Główną część lektury (25 proc.) stanowią po wieści obyczajowe i romanse książ ki fachowe mają 17, a książki hi storyczne 10 procent czytelników.

Do danych statystycznych należy odnosić się ostrożnie, gdyż są one (jak w tym wypadku) wyrywkowe i wszelkie uogólnienia nie byłyby tu wskazane. Ale przecież nie spo sób przejść nad tym do porządku dziennego. Czytelnictwo w Austrii jest małe i faktu tego nic nie jest w stanie podważyć. Niektórzy twier dzą, że społeczeństwa zasobne, ma jące czas na bogacenie się, nie ma ją czasu na czytanie. Być może dzieje się tak w krajach o wyso kim standardzie życiowym. W Au strii poziom życia bardzo się pod niósł, ale przecież nie do tyla i nie w całym społeczeństwie, aby mówić o wielkiej jego zasobności i wielkim bogactwie. Wydaje się więc, że na kupowanie i kompleto wanie własnych bibliotek mają wpływ (niekiedy z pewnością de cydujący) ceny książek. Otóż książ ki w Austrii (jak również w Szwaj carii i NRF) są bardzo drogie. O czywiście ukazują się tzw. Taschen buecher (kieszonkowce), które skal kulowano stosunkowo tanio, ale po pierwsze nie każda książka i nie od razu trafia do tych tanich serii, a po drugie czytelnik, jeśli już decyduje się na kupno, pragnie mieć książkę wydaną w twar dej oprawie i na dobrym papierze, a na zakup takich pozycji mogą so bie pozwolić nieliczni.

Zresztą narzekają nie tylko księ garze. Także plastycy nie są ze swej sytuacji zadowoleni. Nabywców płócien mało, a mecenat pań stwowy właściwie nie istnieje. Gło śnym echem w prasie wiedeńskiej odbiła się sprawa Helmuta Leher bauera, 36-letniego malarza-sur realisty. Żona jego, Lotte Pro fohs, również plastyk, popełniła sa mobójstwo, ale — na szczęście ją odratowano. Fakt ten posłużył Le herbauerowi do wystąpienia z o strym atakiem na politykę kultural ną rządu austriackiego. W tygodni ku „Wochenpresse" (z 17 września br.) ukazał się całostronicowy arty kuł na ten temat, gęsto przetyka ny wypowiedziami rozżalonego i rozgniewanego malarza. Oto jego słowa: „Atmosfera tego miasta — mam na myśli Wiedeń, który jak wiadomo wykończył Mozarta i wy gnał ze swoich murów Freuda — stała się właściwą, duchowo-psy chiczną przyczyną targnięcia się na własne życie mojej ukochanej nade wszystko żony, Lotty Profohs". A nieco dalej tenże Lehrebauer stwier dza kategorycznie: „Tak zwana kul turalno-polityczna sytuacja w Wied niu charakteryzuje się temperaturą lodowatą, która, jeśli chodzi o na tężenie, da się jedynie porównać z pojęciem brutalności". Przyczyną te go stanu rzeczy jest — zdaniem młodego malarza — biurokracja o raz ignorancja w sprawach sztuki.

Faktom tutaj przytoczonym mo żna by przeciwstawić inne, przyno szące chlubę kulturze austriackiej. Od kilku lat działa w Wiedniu Oe sterreichische Gesellschaft fuer Li teratur (Austriackie Towarzystwo Literackie), które kierowane przez dra Wolfganga Krausa, pisarza i pu blicyste, doprowadziło do tego, że stało się ono ośrodkiem życia in telektualnego naddunajskiej stolj cy. Na każdą imprezę Towarzystwa przychodzą tłumy, działalność jego służy znakomicie nie tylko dobrej propagandzie kultury austriackiej na Wschodzie i Zachodzie, ale również ściąganiu do Austrii pisarzy zagranicznych, fundowa niu dla nich stypendiów, or ganizowaniu kongresów i dyskusji, poświęconych problemom inte gracji współczesnej kultury euro pejskiej. W ciągu września odbyło się kilka niezwykle ciekawych spot kań z udziałem Hermanna Keste na (Rzym), Hermanna Kanta (Ber lin), a przede wszystkim z udziałem Friedricha Heera, przodującego in telektualisty austriackiego.

Austrja jest krajem małym, nie ma tu wielkich wydawnictw, książ ki pisarzy austriackich bardzo czę sto ukazują się w NRF. To praw da. Ale jednocześnie nikt nie za przeczy, że z tej małej Austrii wy szli najwybitniejsi pisarze na całym obszarze niemieckiego języka. Józef Roth, Robert Musil, Hermann Broch, Heimito Doderer — to pro zaicy znani dziś i uznani w całej Europie. Franz Theodor Csokor, Fritz Hochwaelder, Oedoen von Horvath, a z młodych Peter Hand ke zaliczani są do grupy wybit nych dramaturgów, zaś Theodor Kramer, Paul Cealan, Gerhart Fritsch, Carl Artmann, a wcześniej Rilke i Hoffmannstahl wzbogacili dwudziestowieczną poezję austriac ką i europejską bezspornymi osią gnięciami artystycznymi.

Odbyłem wiele rozmów z pisa rzami starszego i młodego pokole nia na temat sytuacji kulturalnej Austrii. Rozmawialiśmy w redak cjach i domach prywatnych, w ka wiarni i PEN-klubie, w teatrze pod czas przerwy i na spacerze. Opinie te układają się w pewną całość, chociaż nie pozbawione są mozaiko wej różnorodności. Przytoczę je tu taj, albowiem wiele z nich, przy najmniej w części, odnieść można i do sytuacji u nas.

Mówi Andreas Okopenko, prozaik i poeta, przedstawiciel młodego po kolenia literackiej Austrii:

— Pisarzy naszych dałoby się po dzielić na trzy podstawowe grupy: tradycjonalistów, operujących wy próbowanymi środkami wyrazu, którzy stronią od eksperymentów zarówno w sferze formy jak i w sferze problematyki. Zaliczyłbym do nich Christine Lavant, Fritza Habecka i przedwcześnie zmarłe go Gerharta Fritscha. Druga grupa, przeciwstawna do tej, to ekstremiś ci, dla których literatura i w ogóle sztuka stanowi teren nieustających poszukiwań, zwolennicy permanent nej rewolucji formalnej. Wymieniłbym tu Carla Artmanna i Petera Handke. I wreszcie grupa trzecia, pośrednia, grupa umiarkowanych re alistów, do której zaliczyłbym tak że i siebie. Staramy się łączyć tra dycję z nowoczesnością, nie oddając jednak prymatu formie, która win na pełnić rolę służebną wobec treś ci. Chodzi nam o to, aby sztuka nie zatraciła komunikatywności, gdyż nie piszemy dla siebie, lecz dla innych.

Mówi Hilde Spiel, powieściopisar ka i eseistka, tłumaczka z języka angielskiego, sekretarz generalny austriackiego PEN-klubu:

— Urodziłam się w Wiedniu i, wyjąwszy pobyt w Ameryce w la tach, gdy Hitler okupował Austrię, mieszkam tutaj stale. Piszemy na sze książki w języku niemieckim, ale mamy poczucie odrębności lite ratury austriackiej. Ja w każdym razie reprezentuję taki pogląd i nie jestem w tym odosobniona. Ta odmienność przejawia się już w sa mym języku. Niemcy mówią: La ge, my: Situation, Niemcy: Sitzung, my: Konferenz, Niemcy: Bundestag, my: Parlament. I tak dalej. Nasza literatura jest chyba pogodniejsza, miększa, po prostu bardziej ludzka. Jednakże młodzież niemiecka przed stawia się ciekawiej niż nasza, jest intelektualnie bardziej wyro biona. Może dzieje się tak dlatego, że tam, w Niemczech szkolnictwo znajduje się na wyższym poziomie. A poza tym Austriacy są narodem chłopskim, nie nawykłym do „inte lektualnej uprawy". Ma to i swoje dobre strony. Nasza młodzież jest spokojniejsza, nie tak ekstrawagan cka i nie tak agresywna jak tamta.

Mówi Peter Handke, prozaik i dramatopisarz, wielka nadzieja li teratury austriackiej:

— Już Artur Schnitzler powie dział, czy też napisał, że nie wie my nic o sobie i nic o innych. U ważam to za wspaniały drogowskaz dla całej literatury współczesnej. Dla nas, a w każdym razie dla mnie, istnieją rzeczy jedynie tylko jeszcze w układach słownych.

Mówi Friedrich Torberg, powieściopisarz, krytyk teatralny, eseis ta:

— Dzisiejsi młodzi są inni, niż my byliśmy w ich wieku, i inni od nas obecnych. Co wcale nie zna czy, że są gorsi. Często lepsi. Co mi jednak u tych młodych ludzi, rów nież u pisarzy, przeszkadza, to ich kompletny brak poczucia humoru. Są zwierzęco poważni. A sztuka nie może istnieć bez humoru. Humor daje sztuce prawdę, ułatwia jej od biór, czyni ją strawną. Z naszych młodych pisarzy najbardziej cenię Waltera Bauera, właśnie za humor. Jest to, co prawda, humor bardzo niekiedy gorzki, gniewny, ba! napa stliwy, ale jak nieszczęście jest so lą życia, tak humor jest pieprzem literatury.

Mówi Kurt Benesch, pisarz mło dego pokolenia:

— Swoją książkę („Suess wie die Liebe") napisałem w kawiarni. We „Florianihof". Gdzież indziej miał bym i mógłbym napisać historię kawiarni. Z dawnych pisarzy au striackich najbardziej lubię Marię Ebner-Eschenbach, o której napisa łem powieść biograficzną „Die Frau mit den hundert Schicksalen" (Kobieta o stu losach, przyp. mój). Była to dobra pisarka i niezwykle mądra kobieta. To ona napisała ów słynny aforyzm: „Małżeństwo jest to taka sytuacja, w której dwo je ludzi nie jest w stanie wytrzy mać ani ze sobą, ani bez siebie".

Mówi Oskar Wiesflecker, dzien nikarz:

— Martwi mnie, że nie mamy fil mu. Film austriacki umarł dziesięć lat temu. Oczywiście produkuje się u nas filmy, ale to nie są filmy. To są wspomnienia po czymś, co było. A dobrych aktorów nam nie brak. I reżyserów też. Ale brak po mysłów czyli idei. A bez idei, pro szę pana, na nic. Nie da rady. I to już wszystko. Nie będzie nawet ko mentarza. Bo tak naprawdę to nie jest on wcale potrzebny.

---

są rzeczywiście jednymi z najpiękniejszych w kraju. Dość wspomnieć o tak renomowanych miejscowościach, jak Żegiestów, Rabka, Piwniczna, czy Zawoja — najdłuższa wieś w Polsce położona u stóp Babiej Góry. Stąd właśnie Lenin, który poza wszystkim był również znakomitym turystą wyruszał dwukrotnie do schroniska na Markowych Szczawinach. Okolice Babiej Góry są wyjątkowo urocze, miejscowa ludność nie zdeprawowana jeszcze powodzeniem traktuje wczasowiczów i turystów życzliwie i gościnnie. Nie odczuwa się w spojrzeniach tubylców, iż człowiek jest tutaj „stonką", która wyniszcza miejscowe GS z jadła i napojów.

Obecnie właśnie u podnóża Babiej Góry powstaje wielki ośrodek turystyczny z hotelami, pensjonatami, z wyciągiem narciarskim, a nawet z basenem kąpielowym.

W „Przewodniku Turystycznym" wydanym przez tutejsze władze wyczytać można jeszcze słowa miłe i sympatyczne, o jakich zapomniano już dawno w Wysokich Tatrach: „Ziemia Suska gościnna jest dla wszystkich. Jednako serdecznie zaprasza turystów i sportowców, wycieczkowiczów i letników. Tych, którzy chodzą w góry i tych, którzy z dziećmi przyjeżdżają tu na wakacje. Oferuje im najlepsze co posiada — piękny krajobraz, świeże powietrze, bogate w leśne runo lasy, czyste wody oraz ciszę, o której dziś w wielu rejonach Polski coraz trudniej".

Nawet gdyby w tym wszystkim było tylko pół prawdy, to prawdą całą są na pewno czyste wody. Jest to jeden z nielicznych fragmentów kraju, gdzie uchroniono rzeki przed ściekami. Największa ilość terenów wodnych znajduje się w Nowosądeckiem oraz w Żywieckiem. Żywiec znany jest nie tylko z piwa i pięknych strojów (każda kobieta nosi tutaj na sobie pięć spódnic), ale i z dużego jeziora zwanego również „Morzem Żywieckim". Na to „morze" składają się trzy zbiorniki wodne: Tresny, Porąbki i Czańca. Ich brzegi obsiadły gęsto śląskie kopalnie.

Na marginesie pragnę powiadomić zainteresowanych, że jestem w posiadaniu pełnego spisu terenów woj. krakowskiego, na których można jeszcze lokalizować zakładowe ośrodki wczasowe. Spis zawiera kilkaset pozycji i uwzględnia takie dane, jak: komunikacja, usługi, wielkość i położenie terenów budowlanych, stosunki prawno-własnościowe oraz uzbrojenie. Rzecz jest do wglądu w sekretariacie redakcji „Odgłosów".

Przeprowadzenie inwentaryzacji terenów przeznaczonych pod budowę, budowa dróg, hoteli, moteli, stacji benzynowych, restauracji, domów turystycznych, schronisk, wyciągów narciarskich wymagało wiele wysiłku organizacyjnego i finansowego. Przygotowanie tego regionu do współczesnego ruchu turystycznego nie jest zapewne jeszcze doskonałe, lecz tempo aktywizacji jest tak wielkie, że za parę lat będą tu niewątpliwie najpopularniejsze ośrodki wypoczynkowe w Polsce. Przykładem niech będzie wzrost cen na ziemię. Z chwilą kiedy przystąpiono do budowy drogi karpacko-sudeckiej (1000 kilometrów) przy zrealizowanych już odcinkach, cena ziemi wzrosła z 40 tys. zł do 200 tys. zł za 1 hektar.

A oto tylko niektóre z projektowanych inwestycji jakie w najbliższych latach wzbogacą turystycznodajny region krakowski. Wspomniany już BOT (Babiogórski Ośrodek Turystyczny), Centrum Turystyczne na Polanie Głodówka. Z uwagi na wysokie walory klimatyczne i krajobrazowe przewiduje się tutaj budowę wyciągu, parkingów, wytyczenie nowych tras narciarskich, budowę pawilonów gastronomicznych i hotelowych na 800 miejsc. Koszt 300 mln zł.

Przy tej okazji warto wspomnieć również o inwestycji w Żarach. Dotychczas Żary znane były jako ośrodek szybownictwa. Nowa inwestycja nie ma charakteru co prawda sportowego, ale będzie jedyna w swoim rodzaju. Otóż chodzi o budowę hydroelektrowni na tym samym wzgórzu, na którym znajduje się sportowe lotnisko. Na szczycie zostanie wybudowany sztuczny zbiornik wodny. Kaskada zbiornika uruchomi elektrownię. Woda będzie spadać z wysokości 420 m. Słowem będziemy mieć swoją Niagarę. Koszt przedsięwzięcia ponad 2 mld zł. Za jakieś 5—6 lat można planować już w ten rejon wycieczki, ażeby ujrzeć ów cud polskiej myśli technicznej.

Jeśli już o cudach mowa, nie można ominąć „sądeckiego eksperymentu", który przysłowiową galicyjską nędzę przemienił w ziemię dosłownie kwitnącą sadami, a w przenośni kwitnącą dobrobytem. W gruncie rzeczy istotą tego eksperymentu było uzyskanie przez miejscowe władze większej samodzielności w gospodarowaniu. To znaczy, że powiat ten wyprzedził o 11 lat myśli zawarte w uchwałach II Plenum. Powiat nowosądecki jako pierwszy w kraju, program rozwoju gospodarczego oparł na turystyce, wczasach i uzdrowiskach. Uzupełnieniem miało być sadownictwo i hodowla oraz drobny przemysł terenowy, chałupnictwo i twórczość ludowa, przeważnie dla Cepelii.

Stawka na rekreację i sadownictwo dała nadspodziewane rezultaty. Dobrobyt tego powiatu jest widoczny gołym okiem. Wspaniałe drogi, piękne budynki mieszkalne i gospodarcze, gęsta sieć sklepów i restauracji, stacje benzynowe, ośrodki wypoczynkowe, no i na dodatek piękna przyroda. Na ulicach samego Nowego Sącza, bądź co bądź miasta powiatowego, świeci wieczorem więcej neonów niż łącznie we wszystkich miastach powiatowych woj. łódzkiego. I pomyśleć, że przed wojną pociągi dojeżdżające z Krakowa do Krynicy nie zatrzymywały się po drodze, ponieważ na tutejszych terenach tyfus panował. Ludzie z głodu umierali. Tyfus jest chorobą głodnych.

Dziś sukcesy Nowego Sącza wpłynęły mobilizująco na władzę i ludność okolicznych powiatów. Wydaje mi się, że również wpłynęły mobilizująco na władze wojewódzkie. Okazuje się, że przykład jest zaraźliwy, nawet wtedy, kiedy idzie z dołu.

TADEUSZ SŁUPECKI

Odchodzenie ku przyszłości

Renę Niemcy złapali na ulicy przypadkowo, kiedy wyszła z mieszkania do sklepu. W rok potem, gdy stała się moją pierwszą dziewczyną, ze zdumieniem stwierdzałem, że miłość nie chroni człowieka przed ogólnym losem, jest wobec niego bezradna. Z mojej fabryki na Przejazd, gdzie były życzliwe mi schody, które skrzypiały ostrzegawczo gdy wchodził po nich kulawy volksdeutsch — właściciel, pragnący przyłapać robotników na odpoczynku podczas pracy — przez tydzień chodziłem do tamtej pożydowskiej fabryki na Łąkowej. Stawałem przed zamkniętą fabryczną bramą. Widziałem, jak niemiecki strażnik otwiera ją dla coraz to nowych aut, które zwoziły ludzi złapanych w moim mieście po to, aby jechali do nie wolniczej pracy w obcym, wrogim kraju. Potem mijałem narożnik. I już z ulicy Andrzeja, stojąc obok ojca Reny, patrzyłem na drugie piętro fabryki na Łąkowej. Na żelazne schody z tyłu gmachu, zbudowane niegdyś na wypadek pożaru. Rena wychodziła na nie ukradkiem z fabrycznej hali, gdzie żydom kazano spać na betonowej posadzce. Wychodziła, aby dosięgnąć nas za płotem swoim krzykiem.

— Dlaczego nie staracie się uwolnić mnie przez firmę ojca? Jesteście podli!!!

Zagryzałem z wściekłości wargi, stojąc obok bezsilnego ojca Reny. Zębami chciałem gryźć deski fabrycznego płotu. Nie mogłem pojąć, czemu te żelazne schody, zbudowane niegdyś ludziom dla ratunku, były inne od tamtych schodów w fabryce na Przejazd. Ich nieczuła obojętność wobec tej łkającej na nich dziewczyny, co w rozpaczy posądzała nas o bierność wobec jej losu, przerażała mnie równie silnie jak ludzkie okrucieństwo. Wydawało mi się, że pod tą fabryką na Łąkowej umrę.

Po tygodniu jednak Renie udało się uciec, gdy zachorowała i wyprowadzono ją na miasto do lekarza. Tyle, że odtąd musiała ukrywać się w mieszkaniu zamężnej siostry, na trzecim piętrze narożnego domu przy ul. Kopernika. Siostra z mężem wychodzili po południu do pracy, zagracone licznymi meblami mieszkanko pozostawało puste, odcięte od złego światą tanimi firankami. Kładliśmy się obok siebie na cudzym tapczanie, znowu przejęci swą b a n a l n ą bliskością. Rena przywierała do mnie ciałem żarliwie, ślub wydawał się jej jedynym ratunkiem przed wysłaniem na roboty do Niemiec. Ale dla mnie ten ratunek nie był łatwy. Niedawno wróciłem ze szpitala po wysięku w płucach, w fabryce zarabiałem mało, w dodatku musiałem się troszczyć o matkę i ojca — kalekę. Przy tym czułem, jak później z Jótką, że to małżeństwo zamknie przede mną w moim życiu coś równie ważnego jak ono.

Dlatego w dwa miesiące później odprowadzałem Renę do brzydkiego, kamiennego wiaduktu kolejowego na Widzewie. Chłopską furmanką odjechała stąd do niedalekiej granicy z Generalną Gubernią. Przeszła ją nielegalnie w nocy, zamieszkała u swego brata w Tomaszowie. Przez dwa długie następne lata pisałem do Reny co tydzień. Ona stamtąd także przysyłała pocztą czułe, piękne listy. Za piękne, aby można było pisać je w nieskończoność.

Na spacerach z Jótką starałem się iść z rozmachem, o swoich planach na przyszłość mówiłem z chmurną zaciętością. Okupację, planowałem, przetrwam w fabryce. Będę uczył się w domu, sam, z gimnazjalnych podręczników kolegów, jakie ci ukryli przed Niemcami. Opanuję cztery obce języki i kiedy skończy się wojna, zdam formalnie maturę. A potem zapiszę na Akademię Sztuk Pięknych, zostanę wybitnym malarzem.

Jótka kroczyła obok mnie z podziwem w oczach. To mnie cieszyło, instynktownie czułem, że podziw lub jego odmiany są potrzebne każdemu. Po wyjeździe Reny do Tomaszowa spotykałem się z Jótką raz na tydzień, właśnie z potrzeby tej odrobiny jej kobiecego podziwu. Pragnąłem go, bo oprócz niego i mojej ambicji nie miałem innego dopingu w tym trudnym, przerażającym czasie. Dlatego z początku mój stosunek do Jótki nigdy nie przekraczał granic pragnienia jej podziwu. Zbyt silne było we mnie jeszcze wspomnienie Reny, dokarmiane czułymi listami z Tomaszowa.

Miałem teraz także grupę kolegów, równie ambitnych, jak ja. W upalne lato jeździłem z nimi w słoneczne niedziele na podmiejską plażę NUR FUR POLEN, Tylko dla Polaków. Jeździliśmy tam całą paczką, która chroniła swą polskość, zbierając się na dyskusje w pracowni cmentarnych nagrobków.

W zimie, w zwykłe dni tygodnia, spotykaliśmy się na lekcjach języka rosyjskiego i angielskiego, ukradkiem, nielegalnie, prowadziliśmy dyskusje w pracowni cmentarnych nagrobków. Pracownia należała do pewnego volksdeutscha, u którego pomocnikiem był nasz kolega Jan. Mieściła się w pobliżu cmentarzy na Srebrzyńskiej, w małym domku-szopie, na wąskim podwóreczku, gdzie po południu oprócz Jana nie pozostawał nikt, bo volksdeutsch mieszkał w innej dzielnicy miasta. Dlatego Jan mógł tam nas zapraszać, a w dnie, gdy bywał sam, przyjmować znajome dziewczyny. Miał aspiracje aby zostać artystą-rzeźbiarzem, więc w te dnie rzeźbił w gipsie nagie ciała dziewczyn, rzeźbić próbował już podobno przed wojną.

— No, koledzy. Co na tapecie, sztuka, czy polityka?

W pokoju Jana nie było cmentarnych płyt, gotowych lub przygotowanych do rycia w nich liter napisów, na których siadaliśmy w kamieniarskiej szopie, z braku mebli i jakichkolwiek sprzętów do siedzenia. Tu one były, zajmowaliśmy miejsca na spłowiałym tapczanie i kulawych krzesłach. Paru poznanych u wspólnych znajomych eks-gimnazjalistów, kilka dziewczyn z inteligenckich rodzin, którym udało się przetrwać w Łodzi akcję wysiedlania inteligencji. Byłem w tym środowisku jedynym robotnikiem, który pragnął uczyć się mimo okupacji. Nie czułem się tu s w ó j, ale także nie obawiałem się tego, że jestem od nich i n n y. Tak jak inny czułem się w ojcowej izdebce, w niemieckiej fabryce, na niedzielnych wycieczkach z Jótką. Gruby Stach przynosił do mieszkania Jana swoje nieco naiwne wiersze, mówiące o cierpieniu i śmierci, Bronek grał na kilku instrumentach muzycznych, Jan rzeźbił w gipsie nagie dziewczyny, ja je malowałem.

Przed godziną policyjną dla Polaków wymykaliśmy się z pracowni kamieniarskiej pojedynczo, w obawie przed Niemcami. Z dyskusji o sztuce wracałem do ojcowskiej izdebki, gdzie matka wydzielała nam małe kromki ciemnego, okupacyjnego chleba, powstrzymując w oczach łzy. Po kolacji klękała przed drewnianym krucyfiksem, stojącym na tandetnej bieliźniarce, tuż przy moim zdjęciu od pierwszej komunii. Obok matki klękali moi młodsi bracia, powtarzając za nią modlitwy. Z tyłu widziałem plecy ojca, wygięte w kabłąk, jakby zgarbione pod ciężarem głowy, strzyżonej na jeża. Ojciec chwiał się na opuchłych kolanach, naziębionych niegdyś w kopalniach Śląska, a potem w naszej wilgotnej izdebce i usiłował trącić się kaleką dłonią w pierś. A raczej w wytarty mundur woźnego, jaki nosił, mimo, że z powodu kalectwa od dawna już nigdzie nie pracował.

— Głupi smarkacz. Wyrodek!

Ojciec przestawał trącać się w pierś kaleką dłonią. Ciężko dźwigał się z klęczek, łokciami wspierając się o krzesło. Niechętnie spoglądał na mnie i francuską powieść, jaką czytałem przy stole. Ta niechęć mnie bolała i zarazem dziwiła. Wtedy nie potrafiłem jeszcze zrozumieć owej wrogości ludzi wobec ludzi, jaką często wyzwala w nich kult dla Tego, którego religia nazywa Najwyższą Miłością. Nie mogłem pojąć owego paradoksu, który ciążył na religii od chwili jej powstania. Nie umiałem także pojąć przyczyn innej sprzeczności, tym razem we mnie samym. Tego, że choć czas okupacji pogłębiał we mnie poczucie solidarności z rodziną, jednocześnie zaczął mnie od niej oddalać. Każdą lekcją obcego języka, każdym przestudiowanym podręcznikiem, każdym obrazkiem, namalowanym przeze mnie w ojcowej izdebce.

— A pan Francuz pacierza odmawiać nie lubi?

Ojciec ciągle siedział przy stole zgięty w kabłąk, nad kartami religijnych tygodników. I patrzył na mnie z ową wrogością, co u niego wypływała z wiary w Najwyższą Miłość. Kiedy matka brała mnie w obronę, swą zajadłość kierował ku niej. Obarczał ją winą za to, że przestałem chodzić do kościoła. Straszył wiecznym potępieniem, karą boską. Matka przyjmowała jego zajadłość potulnie, potem się otrząsała. Mówiła, że wychowała mnie jak potrzeba, nauczyła rozróżniać dobre od złego i wierzyć w to, co uważała za słuszne. Ale, powtarzała, nie będzie mi zabraniać pójścia własną drogą, gdy dorosłem. Takie słowa budziły we mnie wdzięczność do matki, za to w ojcu wzmagały gniew. Szamotał się z bezwładem kalekiego ciała, ciężko wstawał od stołu z karbidową lampką; w końcu stawał na opuchłych nogach, szedł do matki, pochylonej w rogu izby nad kuchennym piecem. Szedł, jakby tego co chciał powiedzieć, nie mógł powiedzieć od stołu. Zatrzymywał się przed nią chwiejnie, zalewał zdaniami spęczniałymi od gwałtownych słów. Wysłuchiwałem tego, czując jak jego nienawiść pobudza we mnie wrogość do niego. Dopadałem także do płaczącej matki, wzburzonym głosem i młodzieńczą pogardą osłaniałem ją przed nim. Wtedy ojciec odchylał do tyłu swoje zgięte w kabłąk plecy, unosił ostrzyżoną na jeża głowę, zwykle opuszczoną do przodu, po czym z całą zapiekłą nienawiścią do świata, jaka rosła w nim latami na kompleksach kalekiej, usiłował splunąć w moją stronę.

— Jurek, ty robisz się dziwny.

Było to już wtedy, kiedy po dwóch latach dokarmiania wspomnień o pierwszej miłości czułymi listami z Tomaszowa, Rena przysłała mi nagle ostatni, uprzejmy list z wiadomością o swoim ślubie z biurowym kolegą. Jótka mieszkała na spokojnej ulicy Kątnej, w jednoizbowym mieszkanku, przedzielonym ścianką z dykty na pokój i kuchenkę. W kuchence ojciec Jótki wieczorami klepał na kopycie buty, pozostawiając dla gości pokoik ze starą kanapą. Jótka całowała się tam teraz ze mną ukradkiem, odpychając mnie co chwila, z niepokojem zerkając w stronę kuchennych drzwi, skąd lada chwila mógł wyjść ojciec lub ktoś z jej rodziny. Ten dziewczęcy niepokój nie odbierał jednak spokojnego piękna Jótczynej twarzy, podobnej do portretów wykwintnych dam w muzeach. Ta twarz budziła we mnie nie tyle pożądanie, co jakiś zmysłowy zachwyt.

— Jurek. Dlaczego ty jesteś taki dziwny?

— Co znaczy „dziwny"?

— No, taki, inny.

Uśmiechałem się, pobłażliwy dla jej naiwnych prób zatrzymania mnie przy sobie, prób przerzucenia pomostu pomiędzy nieskomplikowanym myśleniem fabrycznej dziewczyny, córki szewca, a światem moich ambicji i planów. Wiedziałem bowiem, że choć byłem także robotnikiem, synem woźnego, dawno już wyrosłem ponad jej myślenie, mimo że ciągle jeszcze piłowałem w fabryce żelazo. Niekiedy w letnie niedziele z ojcowej izdebki uciekałem z Jótką za miasto, jeśli volksdeutsch — właściciel mojej fabryki nie żądał ode mnie i innych robotników także pracy niedzielnej. Umawialiśmy się na Placu Leonarda, skąd odjeżdżał podmiejski tramwaj do Tuszyna. Spotykaliśmy się tam wszyscy: Jótka, jej brat i dwie koleżanki, mój brat i ja. Wsiadaliśmy na pomost drugiego wagonu, zbijaliśmy się w rozgadaną grupkę, wskutek tłoku w p o l s k i m wagonie przywarci do siebie młodymi ciałami. Jótkę owiewał mój gorący oddech, odsuwała nieco swą piękną twarz, nie dlatego jednak, aby nie lubiła mej bliskości. Po prostu była bardzo wstydliwa. Udawaliśmy więc oboje, że nie dostrzegamy nadmiernej intymności w zbliżeniu naszych młodych ciał, zwartych ze sobą szczelnie, z powodu tłoku w tramwaju. Staraliśmy się patrzeć nie na siebie, a na wagon pierwszy, gdzie jechali osobnicy w y r ó ż n i e n i niemiecką odznaką. Siedzieli w swoim na pół pustym wagonie wygodnie, patrząc przez szybę tramwajowego pomostu w nasze twarze, spocone od tłoku i upału, patrząc z oficjalną pogardą narodów zwycięzców. Tą pogardą, a nawet samym faktem wygodnej jazdy w pierwszym wagonie podkreślali, że „Wspaniały Świat Niemców" jest wyłącznie i c h ś w i a t e m; dla innych narodów zamkniętym, strzeżonym gdzieś daleko przez armie żołnierzy i obozy koncentracyjne, a tutaj przez kordon tabliczek z napisem VERBOTEN; światem egzystującym właśnie na tej nierówności obcych narodów, na ich niewolniczej pracy, głodzie, krzywdzie i wyzysku — na upokarzaniu ludzkiej godności nawet w tramwaju. Dlatego odwracałem zwykle wzrok od pierwszego wagonu ku mijanym polom. Odwracałem, w obawie, aby ci siedzący wygodnie Niemcy nie odczytali w mym wzroku mojej pogardy dla ich „Wspaniałego Świata" i mojej ku niemu nienawiści.

— Patrzcie, zboża!

— Łąka!

— Las!

Krajobraz wiejski był wtedy dla nas odkryciem, aż wstrząsającym w swej inności od fabrycznych ulic Łodzi. Z podmiejskiego tramwaju wysiadaliśmy na ostatnim przystanku, na głównej, brukowanej kamieniami ulicy Tuszyna. Mijaliśmy niemieckich żandarmów, patrzących na nas podejrzliwie. Dzieliliśmy się na pary, trzymając się za ręce szliśmy szosą do najbliższej wsi. U polskiego chłopa, na razie nie wysiedlonego, bo był potrzebny do pracy w niemieckim majątku, jedliśmy obiad, parujące ziemniaki i niedostępne nam w mieście mleko. Potem biegliśmy w pola, przejęci własną młodością, zaczadzeni bliskością dziewczyn. W tych polach dla nas również niepokojąco inną od ich bliskości na chodnikach miasta. Dającą się tu sprawdzić dłonią, nagłym objęciem w pół, pocałunkiem w usta. Bliskością emocjonującą jak te zboża, łąki, las.

— Patrzcie! Patrzcie! Patrzcie!!!

Na wsi nawet okupacja wydawała się tracić swe ponure barwy. Swój gorzki smak, zagęszczony w mieście widokiem dziesiątek tysięcy Niemców w mundurach lub w y r ó ż n i o n y c h odznakami. Tych urodzonych kiedyś w Łodzi i czujących się dawniej Polakami. Tych p r a w d z i w y c h, czujących się zawsze Niemcami. Tych r ó w n i e prawdziwych, co na rozkaz wodza zjechali tu z Wołynia, Besarabii i krajów bałtyckich. A w końcu tych n a j p r a w d z i w s z y c h, przybyłych z samych Niemiec. Słyszeliśmy o sporach, jakie na temat stopni swej niemieckości wiedli między sobą Niemcy. Ci dawni, miejscowi, i ci nowi, co dopiero w okupację wtargnęli do tej nowej dla nich ziemi obiecanej. Te spory nas śmieszyły, bo to od wieków był nasz kraj, nasza ziemia i nasze miasto, choć dawało ono chleb w przeszłości także tylu obcym przybyszom. Ale w owe okupacyjne niedziele na wsi zapominaliśmy o ich śmiesznych pretensjach, uszczęśliwieni ucieczką z okupowanego miasta, z tłumu Niemców na jego ulicach, zajęci o d k r y w a n i e m własnego kraju, zielonych pól, gęstych zagajników i wierzb nad stawami. Potem biegliśmy przez pastwisko. Jótka trzymała mnie wtedy za rękę dziwnie mocno, jakby się lękała, że w tym śmiesznie młodym biegu za bardzo się rozpędzę i nie zdołam się już zatrzymać nigdy. Czułem, jak jej mała dłoń oplata kurczowo moją i było mi jej żal, lecz wiedziałem, że przy niej także nie zatrzyma mnie nic. Należałem już do mojej przyszłości i to ona niosła mnie coraz dalej od przeszłości, choć przeszłość wciąż jeszcze była dla mnie teraźniejszością.

NIKOS CHADZINIKOLAU

Nie zdążyłem

Pamięci Żony

Dzwony
dzwony próchnieją
za dużo piasku
twoich oczu
— okien ciągłości
nie otworzy żadna kropla słońca

dzwony
dzwony próchnieją
słyszę szum morza
który grozi odwróceniem rzek
ludzie poznają moją ślepotę
— jakże słaby to dowód

nie zdążyłem umrzeć z tobą

dzwony
dzwony próchnieją
a ptaki tak wysoko
i ograniczam siebie do niosącego krzyku

tak nagle odeszłaś
że nie zdążyłem umrzeć z tobą

Epilog

Moje dłonie są zbędne
bez twojego ciała
i oczy zbędne
— wyschłe źródło —
bez twojego słońca

nie mogę śpiewać
choć śpiew ocala
mam wargi skamieniałe

TERESA WOJCIECHOWSKA

„FAUST" W TEATRZE WIELKIM

Legenda o doktorze Fauście liczy sobie kilka wieków, przetrwała kilka epok naszej kultury, filozofii, obyczajowości. Każda z tych epok ożywiając od nowa postać Fausta, pozostawiała na niej swe piętno, ukazywała w innym wymiarze. I choć pokolenia nasze znają Fausta przede wszystkim z wielkiego poematu Goethego, choć dzieło to ma aspekty znacznie szersze, to „Faust"* Gounoda, z librettem napisanym według Goethego jest przede wszystkim moralitetem. Możność działania ludzkiego ograniczona jest prawami natury, jej nakazami, za którymi stoją siły nadprzyrodzone — świat dobra i świat zła, tam w górze czeka straszliwy sędzia, by karać niesprawiedliwych. Doktor Faust, sprzedając duszę za młodość, za możność użycia, potępia siebie, niesie nieszczęście tym wszystkim z którymi się zetknie, bo jego czyn jest niemoralny, jest wbrew naturze. Kupiona u szatana młodość nie da mu szczęścia, wypije swój kielich goryczy do dna, zanim pochłonie go piekło.

W romantycznej operze Gounoda nie ma umowności ani przenośni. Siły nadprzyrodzone działają w zmaterializowanych postaciach diabłów i aniołów, pozostających na usługach ludzi, kierujących ich losem. Diabeł chodzi po scenie, czyni czary, wyłania się z otchłani piekielnych w kłębach ognia i dymu, kruszą się miecze w rękach pobożnych, więdną kwiaty pod wpływem jego uroków. Libretto napisane według „Fausta" Goethego jest odeń bardzo odległe, tak odległe, że Niemcy poczytali operę za profanację poematu, a gdy zdecydowali się ją wystawić, uczynili to pod zmienionym tytułem.

My wszakże, w 110 lat po prapremierze opery Gounoda nie szukamy w niej wartości filozoficznych. Przychodzimy dla muzyki, a ta jest niezawodna. Wszak „Faust" nie bez racji nazwany został „najmelodyjniejszą z oper". Piękne arie, duety, kwartety, piękne chóry sycą ucho niemal bez przerwy — od początku do końca.

A że żyjemy w epoce, która bardziej boi się ludzi niż duchów, nie rażą nas więc niekonsekwencje działalności tych drugich. I nie mamy za złe szatanowi, że mając do dyspozycji wszystkie moce piekielne, mogąc wyczarować z miejsca beczkę wina, worek złota, truciznę przemienić w eliksir młodości, musi na dłuższą chwilę pobiec za kulisy, żeby zdobyć szkatułkę z klejnotami. Że tracąc złą moc na widok krzyża, jednocześnie uprawia diabelskie sztuki nieomal na schodach kościoła. Nie wierzymy nawet, że to nadprzyrodzone moce interweniowały podczas jednej premiery, plącząc dekoracje, a podczas drugiej nieco za wcześnie odmładzając Fausta. Choć niektórzy widzą w tym karę za to, że żołnierze wchodzą do kościoła w nakryciach głowy. Niech tam, byle orkiestra pięknie grała, soliści pięknie śpiewali, a widowisko było barwne i żywe. Niech ożywiają je nawet siły nieczyste.

„Faust" jest wystawiony w Łodzi po raz drugi. W 1960 roku oglądaliśmy go w Operze Łódzkiej, a pozwalam sobie na to wspomnienie, bo i kierownik muzyczny był ten sam i reżyser, a i niektórzy wykonawcy także. Tamtą inscenizację określały konkretne warunki sceniczne, które również określały wielkość chóru, orkiestry, baletu. Nie sposób więc porównywać oba przedstawienia, nie dlatego, żeby jedno z nich było lepsze lub gorsze. Po prostu każde było inne. Tamto bardziej kameralne, tu scena Teatru Wielkiego pozwala na rozmach wielkich inscenizacji, na tworzenie wielkich widowisk. Taki też jest „Faust".

W atmosferę wielkiego widowiska wprowadzeni jesteśmy od razu po odsłonięciu kurtyny. Marian Stańczak stworzył jedną ze swych monumentalnych scenografii, które są zawsze atrakcyjną oprawą dla przedstawień typu widowiskowego w Teatrze Wielkim. Głównym elementem dekoracji jest fronton pięknego kościoła gotyckiego, do którego prowadzą dwie kondygnacje schodów. Boki sceny zabudowano fragmentami domów w stylu starego niemieckiego miasteczka tamtej epoki. Stańczak operuje w zasadzie dwoma kolorami: czarnym i białym, ożywionymi srebrnym i złotym. W tym samym tonie utrzymane są bardzo efektowne kostiumy.

Antoni Majak, który po raz trzeci w swej karierze reżyserskiej realizuje „Fausta", zapewne po raz pierwszy czyni to na tak dużej, nowoczesnej scenie. Wysoka mechanizacja tej sceny pozwoliła na zastosowanie wielu technicznych tricków i możliwości te inscenizator w pełni wykorzystał ku rozrywce publiczności. Duża przestrzeń sceny dobrze została wykorzystana dla rozegrania scen zbiorowych, bardzo pięknych i malowniczych. Przestrzeń ta natomiast nie zawsze była fortunna w scenach kameralnych, ensamblowych. Zbyt głęboko umieszczeni soliści nie zawsze byli dobrze słyszalni na widowni, szczególnie w przypadku głosów mniej nośnych, słabszych. Osobiście wydaje mi się również, że zbyt często używa się w tym przedstawieniu mikrofonu, co przy nie najlepszym jego stanie technicznym może wywoływać efekty odwrotne od zamierzonych.

To są moje pretensje do Antoniego Majaka — reżysera. Nie można mieć natomiast żadnych do Majaka — wykonawcy. Kiedy w ubiegłym roku artysta, obchodząc 40-lecie pracy scenicznej powiedział, że nie ma zamiaru rezygnować z występów, niektórzy przyjęli to z powątpiewającym uśmiechem. Premierowy występ udowodnił, że słowa te miały pokrycie. Wydaje się, że Antoni Majak zaśpiewał partię Mefista lepiej, niż dziewięć lat temu. Ciekawa interpretacja wokalna, dobre brzmienie, poparte doskonałym aktorstwem. Tę partię ma artysta we krwi. Przed dziewięciu laty w drugiej premierze wystąpił jako Mefisto młody śpiewak Andrzej Saciuk, który już wówczas oczarował publiczność swą kreacją wokalno-aktorską. Od tego czasu Saciuk śpiewał m. in. partię Mefista na wielu scenach operowych Europy zdobywając słowa najwyższego uznania (obecnie artysta przebywa w Stanach Zjednoczonych (szkoda, że nie słyszymy go w Łodzi). Tym razem na drugiej premierze śpiewał partię Mefista młody solista Teatru Wielkiego, Zdzisław Krzywicki, dysponujący pięknym, czystym, doskonale postawionym głosem. Oby ta partia była dla niego również początkiem takiej kariery, ma ku temu wszelkie warunki.

W partii Fausta słuchaliśmy i oglądaliśmy Paulosa Raptisa i Romana Werlińskiego. Piękny, o ciepłym brzmieniu tenor Paulosa Raptisa znamy ze sceny i estrady, wydaje się jednak, że artysta ten lepiej czuje się na estradzie. Mnie osobiście podobał się lepiej Roman Werliński, który dobrą formę zachował do końca czterogodzinnego spektaklu.

Teresa May-Czyżowska jest śpiewaczką, która niejednokrotnie już przekonała nas o pięknym, czystym, głosie, doskonałej technice i wysokiej kulturze wokalnej. Oczekując jej Małgorzaty spodziewaliśmy się więc wiele i — nie zawiodła nas, tworząc również przekonywającą postać aktorsko. Wydaje się tylko, że scenę obłąkania w akcie IV zagrała zbyt naturalistycznie, co zresztą łatwe jest chyba do stonowania. Izabela Nawe była pełną wdzięku i uroku Małgorzatą, jej to jednak najbardziej zaszkodziło owo usytuowanie w głębi sceny. W niektórych momentach była prawie nie słyszana na widowni.

Słowa uznania należą się Alicji Pawlak za partię Siebla, natomiast nieporozumieniem chyba było obsadzenie w tej roli Eweliny Kwaśniewskiej. Nawet przy największej umowności opery, młodzieniec śpiewający sopranem koloraturowym budzi zaskoczenie. Partię Walentego słyszeliśmy w wykonaniu Jerzego Jadczaka, interesującego wokalnie i aktorsko oraz Floriana Skulskiego — po raz pierwszy występującego na scenie Teatru Wielkiego.

Charakterystyczną postać Marty kreowały: Maria Narkiewicz (również Marta w „Fauście" sprzed dziewięciu lat) oraz Izabela Strzałkowska, Brandera — Zbigniew Studler i Tadeusz Gawroński.

Przedstawienie przygotował muzycznie starannie i z kulturą poprowadził Mieczysław Wojciechowski, układy taneczne opracował Witold Borkowski. Noc Walpurgii w jego ciekawej choreografii miała charakter raczej liryczny niż bachiczny, harmonizujący bardziej z nastrojem Fauta, niż zamiarami Mefista, co wydaje się oryginalną koncepcją. Szkoda, że kostiumy tak piękne w całym przedstawieniu, także w pełnym wdzięku walcu z aktu I, w Nocy Walpurgii nie były zbyt ładne. Nie wiem jakiemu celowi służyć miała sieć rybacka osłaniająca balet w ostatnim akcie, ale mnie bardzo przeszkadzała w odbiorze.

W sumie łodzianie otrzymali na scenie Teatru Wielkiego nową pozycję — piękne widowisko, które na pewno cieszyć się będzie dużym powodzeniem.

*) „Faust" — muzyka Charles Gounod; libretto: J. Barbier i M. Carre wg J. W. Goethego; kierownictwo muzyczne: Mieczysław Wojciechowski; inscenizacja i reżyseria: Antoni Majak; scenografia: Marian Stańczak; choreografia: Witold Borkowski. Premiera 18 października 1969 r. Teatr Wielki w Łodzi.

Książki nadesłane

Hanna Muszyńska-Hoffman
RÓŻE DLA PENSJONARKI
PAX zł. 22,—

Wanda Pawlik
SPOTKALI SIĘ NAD NYSĄ"
PAX zł. 20,—

Jerzy Nowakowski
NIE TYLKO O ZŁOTYCH PIASKACH
PAX zł. 12,—

Guareschi
RODZINKA
PAX zł. 20,—

Eugeniusz Dąbrowski
BEZ BRONI
PAX zł. 25,—

Daniel Rups
KOŚCIÓŁ WCZESNEGO ŚREDNIOWIECZA
PAX zł. 75,—

Stanisław Ryszard Kortyka
PO TAMTEJ STRONIE
Ossolineum zł. 10,—

Henryk Gała
KLĘSKA ZIELONEGO ROWU
Ossolineum zł. 12,—

Machnicki Mieczysław
SKÓRY
Ossolineum zł. 12,—

Braham Roman
OSWAJANIE
Ossolineum zł. 16,—

IGNACY GUSTAW ROMANOWSKI

Wszechświaty Jerzego Krawczyka

W początkach tegorocznego gorącego lata zmarł w Łodzi Jerzy Krawczyk. Odnotowały to tylko nekrologi — wakacyjna aura nie sprzyja pisaniu epitafiów. Wszyscy jednak wiemy, że odszedł jeden z największych artystów, jakich wydała polska sztuka po wojnie.

Pamiętam, było to gdzieś około 1960 roku. Na kolejnej wystawie okręgowej w Łodzi znalazły się dwa obrazy, które przykuwały uwagę zwiedzających swoją irytującą odmiennością od przeciętnej produkcji plastycznej tego okresu. Denerwowały i frapowały do tego stopnia, że ci nieliczni, którzy zbłądzili do galerii nie mogli się oderwać od tych w gruncie rzeczy skromnych płócien. Byłem tam wtedy z przyjacielem i chociaż jako kilkunastoletni chłopcy niezbyt jeszcze rozumieliśmy tę sztukę, jej wartość czuliśmy jednak instynktownie. Jeden z obrazów zatytułowany „Gruby Jurek" był ironicznym autoportretem artysty. Ludzka sylwetka obleczona w coś pośredniego między sutanną i mundurem — strój zapięty na szereg różnorodnych guzików. Uniesiona dłoń trzymająca pędzel i zamiast głowy — pół czerepu. Wywoływało to wrażenie niesamowitości a jednocześnie poprzez sarkastyczny stosunek do własnej osoby przybliżało artystę do widza. Było to jakby zatrzymanie się na granicy intymnego zwierzenia i pełnego rezerwy osądu rzeczywistości.

Taka też chyba była cała późniejsza twórczość Jerzego Krawczyka. Wnikliwy moralista społeczny, twórca angażujący się ostro w osąd naszych czasów i oddający te treści metodą techniczną wymagającą niezwykłej umiejętności manualnej — był Krawczyk w światowej plastyce zjawiskiem wyjątkowym, idącym własną nie przecinającą się z żadnymi współczesnymi prądami artystycznymi drogą.

W malarstwie Krawczyka, które sam określił mianem „realizmu przestrzennego" zbiegały się jak na wiecu najbardziej drażniące i najcharakterystyczniejsze odpryski naszej cywilizacji; nachalność reklamy, prymitywny empiryzm, bezmyślność sloganów — wszystko widziane poprzez przedmiot. Przedmioty Krawczyka odtworzone na płótnie z niewiarygodną iluzyjną dokładnością, gromadzone były na zasadzie porzuconych bezładnie rekwizytów teatralnych. Pozorny brak związku między poszczególnymi przedmiotami, chaos, zestawienia wzajemne zupełnie nieprawdopodobne — służyły artyście do obnażania absurdów odwzorowanych z otaczającej nas rzeczywistości. Sarkazm wyzierający z tych koronkowo zbudowanych obrazów łączył się z wyczuwalną, czasem jakby tuż pod płótnem pulsującą obawą, ludzką obawą artysty o los swojej sztuki, będącej przecież częścią tej samej rzeczywistości. Ta obawa kazała więc raz artyście spiętrzać kompozycje do granic możliwości, aby potem purystycznie oczyszczać płótna z przedmiotów a zastępować je tekstami — hasłami, sloganami, epitetami. Tak, jak spiętrzone na obrazach napisy przedstawiane jako plakaty, etykiety, bilety, ulotki uświadamiać miały bezsens sloganomanii, tak sceny, w których wprowadzony został człowiek — obnażały trywialność życia codziennego.

To wszystko — przedmiot, hasło, człowiek — podporządkowane zostało pasji demaskatorskiej artysty. Pasji, która przysporzyć miała Krawczykowi wielu sukcesów i sławy, ale jednocześnie — czego doświadczył niejeden wybitny twórca — wywoływała niezrozumienie tej sztuki wymykającej się ustalonym konwencjom. Bo chociaż znaleźć można w sztuce Krawczyka pewne odległe analogie z równie samotnymi poszukiwaniami Amerykanina Ivana Albrighta, to jednak jasne było od dawna, że polski artysta jest twórcą na skroś oryginalnym.

Dlatego nawet obrazy tematyczne i konkursowe Krawczyka mimo znacznie uproszczonej anegdoty, nigdy nie posiadały jednowymiarowości ideowej. Każdy z tych zaangażowanych wprost obrazów — „Scheibler powstał pierwszy", „Wyzwolenie", „Przedwiośnie", „Przesyłka bez wartości" — nosi na sobie piętno złożonej, wielostronnej umiejętności widzenia problemu. I żaden z tych obrazów nie może stanąć pod zarzutem łatwizny. Każdy bowiem temat był dla artysty rzeczowym pretekstem do stworzenia dzieła pozostającego w ścisłej relacji z poprzednimi pracami. Bo — posłużę się cytatem ze szkicu o twórczości Krawczyka pióra wybitnego krytyka brazylijskiego Hugo Aulera — „wszystkie jego obrazy posiadają tę zaletę, że nie poprzestają na ukazywaniu nie znanej dotąd koncepcji i mistrzowskiego wykonania. Tworzą one małe wszechświaty, odkrywają nowe formy ekspresji, które wyrażają wewnętrzne postrzeganie stylu życia i myśli epoki współczesnej. Może więc pod koniec XX wieku przypadnie Polsce rola zademonstrowania wobec cywilizacji zachodniej, że nad tradycyjnym gatunkiem malarstwa nigdy już nie zawiśnie groźba auto da fe dzięki rezultatom poszukiwań i eksperymentów Jerzego Krawczyka").*

Auler się nie pomylił — rdzeń tradycyjnego malarstwa pozostał w sztuce Krawczyka świeży i czysty. Skaziła go tylko wiedza artysty o współczesnym świecie. „Cisza leczy" — mówił Krawczyk w jednym ze swych obrazów, na którym slogan ten wymalowany był w nieskończonych ilościach etykiet, ulotek, przywieszek, taśm perforacyjnych wkomponowanych między śnięte ryby i porzucone na strychu rupiecie. Oznajmujący ton sloganu śmiesznie odstawał od jednoznacznej wymowy obrazu. Cisza leczy tylko w świecie fikcji, bo nie jest ona znakiem naszych pośpiesznie przewalających się czasów.

*) „Jerzy Krawczyk — nowy wymiar malarstwa sztalugowego" autor Hugo Auler — Correio Braziliense z dn. 6 kwietnia 1968 r.

ANDRZEJ HAMPEL

Film po Rewolucji (1918–1924)

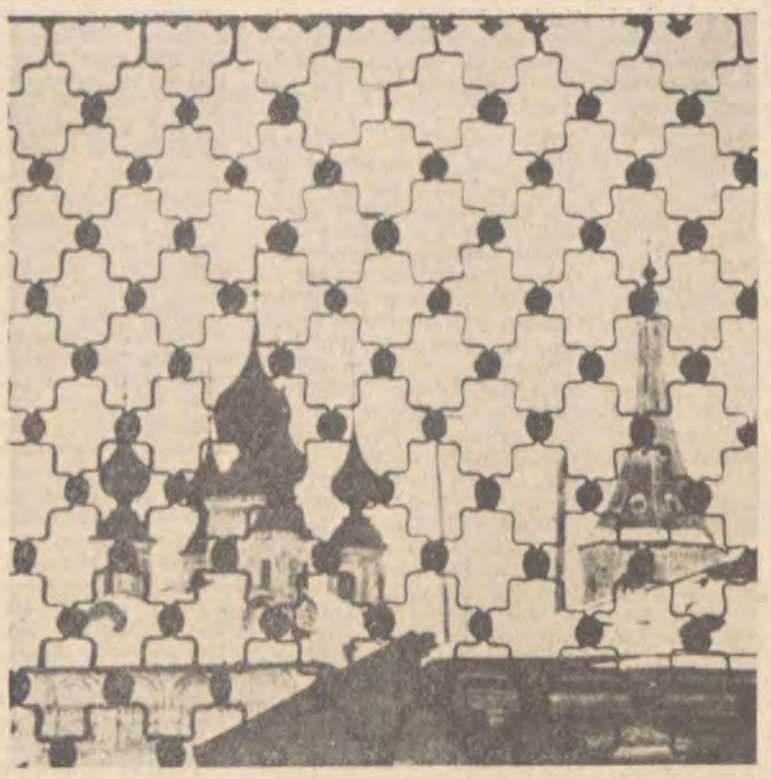

Tegoroczne uroczystości i imprezy związane z Festiwalem Filmów Rosyjskiej Federacyjnej Republiki Radzieckiej (21—30. X.) oraz Dniami Filmu Radzieckiego 69 (21. X. — 9. XI), mają szczególnie uroczysty charakter. W sierpniu br. minęło bowiem 50 lat od momentu podpisania przez W. I. Lenina dekretu Rady Komisarzy Ludowych RFSRR o przekazaniu przemysłu i handlu fotograficznego oraz kinematograficznego pod zarząd Ludowego Komisariatu Oświaty. Dzień 27 sierpnia 1919 r. jest oficjalną datą narodzin kinematografii radzieckiej.

Dokumenty publikowane przez historyków filmu radzieckiego, wspomnienia starych działaczy komunistycznych, lektura rezolucji i dyskusji zjazdów partyjnych uświadamiają, że u podstaw powstania i rozwoju kinematografii radzieckiej leżą leninowskie myśli i wskazania dotyczące znaczenia filmu w pracy propagandowej i oświatowej.

W. Boncz-Brujewicz — późniejszy szef kancelarii Rady Komisarzy Ludowych — wspomina, iż w 1907 r. Lenin w rozmowie z S. A. Bogdanowem oświadczył, iż dopóki film znajduje się w rękach spekulantów, przynosi więcej zła niż pożytku, „demoralizując masy wstrętną treścią obrazów; dopiero kiedy kino zostanie opanowane przez zwycięski proletariat i znajdzie się w rękach działaczy komunistycznych — stanie się jednym z ważniejszych środków wychowania szerokich mas".

W okresie kiedy Lenin rozmawiał z Bogdanowem na ekranach kin rosyjskich grasowały sensacyjne dramaty z życia wyższych sfer i marginesu społecznego, ckliwe melodramaty i bzdurne komedie, filmy w rodzaju „Ofiary Twerskiego bulwaru", „Teściowej w haremie" itp. Kino było instrumentem gry na najniższych instynktach tłumów, środkiem do odwrócenia uwagi od „zgubnego wolnomyślicielstwa", oddalało widza od aktualnych społecznych i politycznych problemów. Dopiero po rewolucji film przestał być przedmiotem handlu, środkiem bogacenia się nielicznych jednostek oraz ogłupiania mas. Mógł stać się prawdziwą sztuką, dokumentem naukowym i oświatowym.

W grudniu 1917 r. w wydziale szkolnym Ludowego Komisariatu Oświaty kierowanym przez N. Krupską powołano sekcję filmową podporządkowaną również Krupskiej. Praktyczna działalność sekcji rozpoczęła się od pokazu specjalnie dobranych filmów oświatowych, poprzedzonych wykładem A. Łunaczarskiego i N. Krupskiej. W dyspozycji ówczesnych władz pozostawał jeden aparat projekcyjny i niezbyt zasobna filmoteka Muzeum Piotrogradzkiego. Sekcja filmowa czuwać miała nad organizacją kinematografii radzieckiej, koordynować prace tworzących się komitetów filmowych przy poszczególnych radach.

30 kwietnia 1918 r. w czasie ciężkich walk z wojskami Judenicza, Ludowy Komisariat Oświaty i Rada Piotrogradzka postanowiły powołać do życia Piotrogradzki Komitet Filmowy, Nowy organ władzy radzieckiej miał za zadanie skoncentrować wszystkie przedsięwzięcia dotyczące przemysłu filmowego, nadać im jednolity charakter i czuwać nad produkcją. Drugą stroną jego działalności miało być kulturalne wychowanie szerokich mas, propagowanie naukowych i politycznych doktryn. Przewodniczącym Komitetu został stary bolszewik, profesor chemii D. I. Leszczenko. W odróżnieniu od Moskwy, w Piotrogradzie już w pierwszych dniach istnienia władzy radzieckiej, nacjonalizacja prywatnych przedsiębiorstw filmowych była faktem. W 1918 r. np. znacjonalizowano 68 kinoteatrów. W ten sposób jeszcze przed opublikowaniem leninowskiego dekretu, przejście piotrogradzkiego przemysłu filmowego w ręce państwa było przeprowadzone i realizowane.

Najistotniejszym problemem z jakim borykały się młode władze, był brak wykwalifikowanych kadr reżyserów, operatorów i techników filmowych. Część starych filmowców rosyjskich bądź to przeniosła się na tereny zajęte przez białych, część przebywająca w Moskwie i Piotrogradzie nie kwapiła się do współpracy z bolszewikami, oczekując upadku rewolucji. Tylko nieliczni jak Gardin, Protazanow, młodsi — Tisse, Wiertow przystąpili do pracy nad nowym filmem, w nowych warunkach. W takiej sytuacji władze przystąpiły do organizowania radzieckiego szkolnictwa filmowego. W biuletynie nr 9 Piotrogradzkiego Komitetu Filmowego, pojawiło się 30 grudnia 1918 r. zawiadomienie o otwarciu Szkoły Sztuki Filmowej, której zasadniczym celem było przygotowanie nowych kadr, kształcenie aktorów, reżyserów, wykładowców zagadnień filmowych oraz techników. Szkoła Sztuki Filmowej zgodnie z założeniami jej organizatorów — A. Łunaczarskiego i prof. Leszczenko — miała być „zakładem naukowym, w którym słuchacze otrzymaliby ogólne wykształcenie filmowe". Powołanie do życia tej uczelni — w warunkach frontowych walk — było wydarzeniem ogromnej wagi. (W 1921 r. Szkołę przekształcono w Instytut Sztuki Filmowej). W Moskwie Państwowa Szkoła Sztuki Filmowej otwarta została we wrześniu 1919 r.

Równolegle z pracami organizacyjnymi dążono do stworzenia ideowego i artystycznego modelu nowej socjalistycznej kinematografii. Kierując się wskazaniami Lenina na temat pracy propagandowej i oświatowej, Ludowy Komisariat Oświaty wydał w 1919 r. pierwszą radziecką publikację filmową pt. „Kinematograf". Artykuł redakcyjny tego wydawnictwa po krytycznym scharakteryzowaniu filmu przedrewolucyjnego tak formułował zadania nowego filmu: „Prawda i piękno powinny zastąpić na ekranie zdeprawowany fałsz i upiększoną szpetotę przemijającej przeszłości, nastroje walki i wiary w zwycięstwo powinny ogarnąć serca widzów. I film posiada wszelkie możliwości, by podołać temu nowemu dlań wielkiemu zadaniu, ale jego pracownicy będą może musieli jeszcze długo zgodnymi i energicznymi wysiłkami torować nowe drogi dla jego twórczości, podnosząc go na wyżyny prawdziwej sztuki — sztuki, która uczy, wychowuje i prowadzi masy ku świetlanej przyszłości".

Realizując wskazówki Lenina, który w rozmowie z Łunaczarskim stwierdził, że produkcję nowych filmów należy zacząć od kronik i filmów agitacyjnych, władze filmowe tego rodzaju twórczość obdarzyły w pierwszym okresie największą uwagą. Początki radzieckiego filmu to interesujące kroniki pokazujące walki Armii Czerwonej, życie radzieckich miast i wsi, uruchamianą produkcję przemysłową, subotniki i zjazdy. Każde ważniejsze wydarzenie dnia zostało zanotowane na taśmie przez filmowców radzieckich. Dziś te dokumenty mają wartość bezcenną.

W październiku 1918 r. rozpoczęły się zdjęcia do pierwszego filmu agitacyjnego (agit-filmu) pt. „Zagęszczenie" wg scenariusza A. Łunaczarskiego, objaśniającego zasady radzieckiej polityki mieszkaniowej. W okresie 1918—1920 wyprodukowano kilkadziesiąt filmów agitacyjnych i kronik filmowych, z których na szczególną uwagę zasługują: „Święto I Rocznicy Rewolucji Październikowej", „Wszyscy do broni", „Obrońca ojczyzny", „Proletariusze na straży rewolucji". Pierwsze radzieckie kroniki i „agitki" miały już charakterystyczne cechy nowej, socjalistycznej sztuki. Ideowe, zaangażowane i rzetelne, przemawiające prawdą i prostotą — od razu miały ogromny wpływ na radzieckich widzów, a w dalszej konsekwencji — na powstanie radzieckich filmów fabularnych.

Zakończenie wojny, przejście w czas pokojowego budownictwa nasunęły potrzebę ustosunkowania się także do spraw filmu. W rozdziale „O propagandzie" X Zjazdu (marzec 1921) potwierdzone zostały leninowskie wskazówki dotyczące filmu — „w nowym okresie życia państwowego, kina, muzea, kluby itd. — wszystko to winno być podporządkowane propagandzie". Zjazd zalecił również usprawnienie agitacji i propagandy antyklerykalnej w oparciu o najnowsze zdobycze nauki i techniki, w tym również filmu.

Mimo że w okresie porewolucyjnym na plan pierwszy w twórczości filmowej wysunęła się kronika i publicystyka filmowa, nie znaczy to, że nie podejmowano prób nad stworzeniem radzieckiego filmu fabularnego (zwanego w ZSRR filmem artystycznym). Ponieważ krótkie filmy agitacyjne o wątłej fabule, artystycznie jeszcze nie udolne, nie mogły w pełni zastąpić prawdziwych filmów fabularnych, postanowiono przystąpić do ekranizacji najwybitniejszych arcydzieł literatury rosyjskiej. Poczynając od jesieni 1918 r. Piotrogradzki Komitet Filmowy ogłaszał otwarte konkursy na scenariusze filmowe, np. konkurs na scenariusz oparty na którymś z utworów Turgieniewa, Puszkina i innych. Realizacja pozostawiała jednak wiele do życzenia, przede wszystkim ze względów artystycznych i technicznych. Na pierwszy radziecki film fabularny z prawdziwego zdarzenia przyszło jeszcze poczekać. Najbardziej udaną próbą był wyprodukowany w 1921 r. pełnometrażowy film o tematyce współczesnej pt. „Sierp i młot". Reżyserował W. Gordin, kamerę prowadził Tisse, mający już duże doświadczenie w realizacji kronik filmowych. Film ten był zapowiedzią nowego okresu kinematografii radzieckiej, która poprzez „Czerwone diabełęta", „Cudotwórcę", awangardowe filmy futurystów i ekscentryków, przeszła do wybitnych osiągnięć Eisensteina, Pudowkina, Dowżenki, Wasiliewów.

Nieliczne radzieckie wytwórnie filmowe produkujące kroniki, „agitki" i filmy fabularne nie mogły zaspokoić potrzeb widzów, wypełnić repertuaru kin. Dlatego władze zdecydowały się wpuścić na ekrany pewną ilość starych filmów rosyjskich i importowanych z Zachodu. Większość z nich spotkała się z ostrą krytyką prasy radzieckiej, która podkreślała ich komercyjność, obcość ideologiczną, schlebianie drobnomieszczańskim gustom. Sytuacja stawała się kłopotliwa, dopuszczone w ograniczonym zakresie do działalności po 1921 r. drobne elementy kapitalistyczne, „poczwarne narośla przeżytków prywatnej własności, usiłowały się wcisnąć w każdą szczelinę, działały już nie na drodze sabotażu gospodarczego, lecz ideologicznego, próbując snuć dalej wątek przeżytej przeszłości" (Eisenstein). Dostrzegając niebezpieczeństwo, kolejne zjazdy partyjne (XII i XIII) przywróciły właściwe proporcje, wytyczyły kierunki dalszego rozwoju kinematografii.

Rezolucja XIII Zjazdu (1924) będąca uzupełnieniem leninowskiego dekretu z sierpnia 1919 r. odpowiadając na referat sprawozdawczy Stalina („Źle się ma sprawa z kinem. Kino jest potężnym środkiem agitacji masowej. Zadaniem naszym jest wziąć tę sprawę w swoje ręce"), głosiła: „Kino powinno w rękach partii stać się potężnym narzędziem wychowania komunistycznego i agitacji. Jest rzeczą konieczną zainteresować tą sprawą szerokie rzesze proletariatu, organizacje partyjne i związki zawodowe".

Z kin usunięto trywialne, tandetne filmy, oddalające widza od aktualnych problemów, zacierające obraz walki klasowej. Stworzono warunki dla powstania w przyszłości tak wybitnych dzieł jak „Pancernik Potiomkin", „Matka", „Burza nad Azją", „Czapajew".

Władze radzieckie realizując znaną tezę leninowską — „ze wszystkich rodzajów sztuki najważniejszy jest dla nas film" — uczyniły ze sztuki filmowej ideologiczną broń, służącą rewolucji jako narzędzie wychowywania i przekształcania ludzi.

Zewsząd o wszystkim

La Cosa Nostra

„TIME" — NOWY JORK

„W pierwszych latach obecnego dziesięciolecia nawet dyrektor FBI (Federalne Biuro Śledcze) Edgar Hoover negował fakt istnienia „Cosa Nostra". Jej struktura organizacyjna była tajna i jeśli nawet miała jakąś nazwę — nie znał jej nikt, z wyjątkiem członków organizacji. Niemniej, zawsze wywierała, i wywiera nadal w coraz większym stopniu, wpływ niemal na wszystkie dziedziny życia w Stanach Zjednoczonych.

„Cosa Nostra", znana także pod nazwą mafii, jest ogromnym, szeroko rozgałęzionym imperium przestępców, którego granic nie sposób ściśle określić. Wielu Amerykanów nie może do dziś zrozumieć, dlaczego ich kraj stał się przystanią dla różnego autoramentu przestępców, którzy okradają ich z miliardów dolarów, deprawują działaczy państwowych, mają w kieszeni biznesmenów, mordują zwykłych obywateli.

Mafia rodzi korupcję z szybkością błyskawicy. Przenika do firm dużych i małych, do aparatu władz stanowych i urzędów, wywiera wpływ na przedsiębiorstwa rozrywkowe i na stosunki w pracy. Monopolizuje handel narkotykami, systematycznie zabija ludzi. Dyrektor ogólnokrajowej rady do walki z przestępczością, Milton Rector, twierdzi z całą stanowczością, iż „prawie każda ujawniona zbrodnia, w ten lub inny sposób, wiąże się ze zorganizowaną przestępczą działalnością".

„Cosa Nostra" liczy około 5 tysięcy członków, rozproszonych po całym kraju. Tworzą oni 24 tzw. „rodzinne grupy przestępcze, uformowane na wzór struktur wojskowych. W skali całego kraju „Cosa Nostra" nie posiada „dyktatora" lub jakiegokolwiek innego organu ogólnokrajowego, który by koordynował zamierzone „operacje". „Rodziny" tworzą luźną „federację", pozostającą pod kierownictwem zarządu dyrektorów, zwanego „komisją". Stąd biegną nici organizacji do wielu tysięcy sojuszników i wasali.

„Cosa Nostra" jest najbogatszą mafią świata. Jej roczne dochody, obliczane zaledwie z grubsza wg przybliżonych danych federalnych agencji do walki z przestępczością, sięgają 30 miliardów dolarów rocznie, a czysty zysk zamyka się sumą prawie 10 miliardów dolarów.

Dwa lata temu, specjalna komisja prezydencka musiała „spasować", gdy polecono jej zbadać, jak głęboko przeniknął świat przestępczy do różnych dziedzin życia publicznego kraju. „Określenie stopnia i efektów działalności przestępczej w sferze legalnego życia publicznego w kraju jest niemożliwe do ustalenia" — brzmi nader lapidarne stwierdzenie komisji.

Jedną z form działania „Cosa Nostra" jest nawiązanie współpracy z policją i działaczami politycznymi. Na przykład na wschód od Minnesoty, władze bodaj każdego większego miasta są zamieszane w kontakty z mafią. W Newark kwitnie korupcja. Oto przykłady: niedawno pewien gangster powiedział do swego „kolegi": „szefom policji naszego miasta „odpalamy" 12 tysięcy dolarów miesięcznie". Wiosną ubiegłego roku, wyjeżdżający na urlop na zachodnie wybrzeże, Thomas Peccora, miejscowy leader związkowy i jednocześnie członek mafii, najął do ochrony osobistej tajnego agenta newarskiej policji miejskiej. Szef policji w Newark, Dominic Spina, stanął przed sądem za łamanie ustawy o grach hazardowych. Sąd uwolnił go od winy. Mer miasta, Addoniccio, odmówił przedłożenia dokumentów, dotyczących jego operacji finansowych. Nie było siły, która by mogła go do tego zmusić.

„Cosa Nostra" ma ogromne wpływy w wielu rejonach Chicago i w okresie wyborów decyduje o losie co najmniej 15 członków kolegium ustawodawczego. Mafia w Chicago uniemożliwia przyjęcie ustaw, wymierzonych w świat przestępczy, obsadza gangsterami administracyjne władze miasta, demoralizuje i paraliżuje funkcjonowanie organów policji. Były główny sędzia śledczy jednego z okręgów w stanie Illinois, Richard Caine, poddał badaniom, przy pomocy aparatu do wykrywania kłamstwa, pięciu podejrzanych o włamanie do banku. Tylko, że Caine nie szukał przestępcy, lecz informatora, który zadenuncjował sprawców włamania przed FBI i w wyniku tego „dochodzenia" został zamordowany.

W ubiegłym roku przyjechało do miasta Columbus trzech agentów federalnych FBI w celu przeprowadzenia śledztwa w sprawie gier hazardowych. Wkrótce aresztowała ich miejscowa policja za „pijaństwo w lokalu publicznym". Po długich korowodach zostali uwolnieni, a ośmiu policjantów z Columbus dostało się za kratki za branie łapówek od gangu w wysokości 8 tysięcy dolarów miesięcznie.

Ralph Salerno utrzymuje, iż mafia kontroluje głosy 25 członków Kongresu. Kongresman z New Jersey, Cornelius Hollacher, był powiązany z bossem „Cosa Nostra" w tym mieście, Joe Sicarellim. Sicarelli nazywał Hollachera „swoim przyjacielem — kongresmanem" i tak go mocno trzymał w ręku, że Hollacher przerywał wystąpienia w Kongresie, gdy boss mafii wzywał go do telefonu... Chociaż Hollacher wykręcił się od oskarżenia o powiązania z Sicarellim, to jednak nie zaryzykował wytoczenia procesu magazynowi „Life", który zamieścił na swych łamach obszerny artykuł na ten temat. Hollacher został ponownie wybrany do Kongresu

JERZY URBANKIEWICZ

Ta dziwna płeć za Kanałem

To dowcip, jaki krąży po Londynie. Wyszło zarządzenie, aby oboje kandydaci do stanu małżeńskiego stawali przed urzędnikiem stanu cywilnego w stroju potocznie zwanym „topless", czyli z obnażonymi piersiami. Jest to bowiem jedyny sposób, by urzędnik mógł odróżnić pana młodego od panny młodej.

Parę, o której chcę mówić, spotkałem na stacji kolei podziemnej. Byli to dwaj chłopcy w wieku 19—20 lat. Jeden z nich miał długie włosy związane z tyłu wstążką a na kolorowej koszuli — naszyj z nanizanych na sznurek świecidełek. We fryzurze jego kolegi nie było nic szczególnego, natomiast zwracały uwagę nogi obnażone aż do króciuteńkiej spódniczki opasującej mu biodra. Nie, nie należy tego kojarzyć ze strojem szkockim! Była to po prostu spódniczka mini-mini, taka, jaką zaprezentowała niedawno w telewizji piosenkarka francuska.

Płeć powyższych dwóch osobników określiłem jako „chłopców" i prawdopodobnie w odpowiednich rubrykach ich dokumentów twierdzi się urzędowo, że to płeć męska. Pozostaje jednak zagadką, co oni sami myślą o swojej płci, a trzeba by nie lada odwagi, by ich o to zapytać. Wobec powyższego pozostają nam domysły, a te mogą doprowadzić do najgorszych wniosków, jeśli się wie, że liczbę homoseksualistów na terenie Wielkiej Brytanii oblicza się na milion, zawężając tę liczbę tylko do tak zwanych aktywnych.

Jeśli istnieje jakaś droga zorientowania się w gąszczu nieskodyfikowanych praw angielskich, to chyba traktują one miłośnika płci własnej w sposób liberalny. Bohater tego reportażu staje codziennie wobec problemu: jak i gdzie znaleźć sobie bratnią duszę i... ciało, żeby nie narazić się przy tym na śmieszność, upokorzenie, lub posądzenie o chęć zysku. Zresztą ewolucja poglądów na tę i pokrewne sprawy zmierza w kierunku liberalizmu. Coraz częściej stają się tu oczywiste kompetencje lekarza, a coraz rzadziej — przedstawicieli władz. Zboczenia seksualne i najrozmaitsze ekstrawagancje w dziedzinie współżycia płci bywały już tematami dzieł literackich. Dziś można mówić o wszelkich dziwactwach i u nas i u nich, oczywiście — nie wytykając zbytnio palcem.

Miasto takie, jak Londyn, a chyba i inne metropolie świata, tym są wygodne dla dziwaków i zboczeńców wszelkiego autoramentu, że w wielomilionowym tłumie człowiek jest nie do zidentyfikowania. Poza tym bujny rozwój homoseksualizmu sięga korzeniami w te powojenne lata, kiedy tysiące młodych mężczyzn pełniło służbę wojskową. Problem rodził się tuż za wrotami koszar, kiedy skromny żołd w kieszeni nie dawał żadnych szans w damskim towarzystwie.

Potem demobilizacja sprawiła, że w barach brakło klientów opisanego rodzaju, więc niektóre zbankrutowały i zmieniły właścicieli, inne przestawiły się na klientelę złożoną z dwóch płci i był okres, kiedy homoseksualiści narzekali podobno na Londyn, tak im było trudno trafić na coś, co by im odpowiadało. Jednakże powojenne zmiany w stosunkach społecznych wyszły im ostatecznie na dobre, a zadecydowało o tym i powojenne załamanie struktury klasowej w Anglii i zrodzenie się swobody w obcowaniu płci i swobody w wyrażaniu poglądów na wzajemne stosunki płci i w rosnącym znaczeniu nastolatków w społeczeństwie i wreszcie we wzroście dobrobytu.

Miejscem, gdzie najbardziej liberalnie traktuje się wszelkie sprawy związane z różnicą i podobieństwem płci jest oczywiście Picadilly, dzielnica, w której najłatwiej o frywolne widowisko, o film z ryzykownymi scenami, o strip-tease, o książkę pt. — cytuję z pamięci — „Sztuka miłości, czyli 40 sposobów" itd. itp. Być w Londynie, a nie widzieć Picadilly — to błąd nie do wybaczenia, toteż snują się tu tłumy turystów zagranicznych i pozalondyńskich, a wśród tych tłumów samotni mężczyźni szukający męskiego ciepła i podobno bez trudu je znajdujący, zwłaszcza, że Picadilly przylega do dzielnicy teatrów a artyzm w męskiej duszy ponoć nierzadko powoduje zmiany hormonalne w ciele artysty, a te kwalifikują artystę na bohatera niniejszego reportażu.

Cywilnych miłośników płci mocnej można zapewne dzielić na takich, którzy gustują w muskularnych dokerach i takich, którzy doznają drżenia serca na widok białych bryczesów gwardzisty. Bryczesy te przywodzą mi na myśl problem: — co ma robić ktoś nie obeznany ze środowiskiem, kto na przykład przyjechał do Londynu po raz pierwszy i skazany jest na samotność. Otóż sprawy te są podobno zwyczajowo uregulowane i z jednej strony pewne umowne szczegóły stroju pozwalają na wzajemne rozeznanie się w tłumie, z drugiej — publiczne lokale nastawione na ten rodzaj klienteli wiedzą, jak się reklamować. Strojem w środowisku tym najbardziej lubianym jest skórzany lub plastykowy kostium motocyklisty, firmowym znakiem pubu — czerwony welwet w oknie i kandelabry.

Naturalnym żerowiskiem dla bohaterów niniejszego reportażu są puby, czyli angielskie bary.

Puby o tyle są niedogodne, że w zasadzie każdy ma do nich wstęp, może tam więc trafić na przykład jakiś zajadły wróg homoseksualizmu i wyciągnąć jakieś praktyczne wnioski ze swoich spostrzeżeń. Dlatego dużym powodzeniem cieszą się zamknięte kluby, zapewniają bowiem idealny dobór towarzystwa i możliwość uciech, które proszą się czasami o nazwę — orgii. Młodzież lubuje się w wyposażonych w grające szafy kawiarenkach, z których wiele, zwłaszcza na Kings Road w dzielnicy Chelsea mieści się w mrocznych piwnicach.

Cóż warta byłaby relacja o trzeciej płci nad Tamizą, gdyby nie wspomnieć o tureckich łaźniach. Te bardziej wykwintne, z tradycjami i antycznym wyposażeniem wnętrza, mieszczą się na West Endzie, a mają tę dogodność, że czynne są całą dobę. Nie trzeba więc nikomu wyjaśniać, jak znakomicie nadają się na miejsce schadzek. Podobno służba nie stara się specjalnie o sprawdzanie, ile osób wchodzi do pojedyńczej kabinki, a dba raczej o to, żeby klienci nie hałasowali. Na biedniejszym East Endzie łaźnie pracują tylko do ósmej wieczorem i stanowią miejsce rzeczywiście potrzebne tamtejszym mieszkańcom ze względów higienicznych. Służą jednak również załatwianiu zgoła innych celów.

Bohaterowie niniejszego reportażu znają również zalety kina i to oni właśnie w znacznej mierze, podtrzymują egzystencję kin londyńskich. Wprawdzie nasi znawcy telewizji twierdzą, że „kudy tam" zagranicznej telewizji do naszej, fakt jednak pozostaje faktem, że z rozwojem telewizji angielskiej a zwłaszcza teraz, z rozwojem telewizji kolorowej — wiele kin londyńskich zlikwidowano. W tych mniejszych i starszych bywają homoseksualiści i — mam wrażenie, że wykorzystują oni ten szczegół architektury wnętrz kinowych, że wejście do ubikacji prowadzi wprost z widowni. I to spostrzeżenie wiedzie nas wprost do wnętrza licznych w Londynie szaletów. Również stacje kolei podziemnej stanowią znakomite miejsce. Praktycznie więc rzecz biorąc, można sobie kupić najtańszy bilet, który przed niedawną podwyżką kosztował 4 pensy i jeździć choćby cały dzień kolejami podziemnymi, byle nie opuszczać podziemia. Otóż charakteryzowani tu młodzi ludzie wchodzili za 4 pensy pod ziemię i kursowali po stacjach i szaletach póki nie znaleźli, kogo szukali. Większość szaletów na tych stacjach polikwidowano, ale zjawisko istnieje dalej i nic nie wskazuje na to, by rychły był jego zmierzch.

Jeśliby zawiodły wszystkie wyżej wymienione miejsca, to istnieją jeszcze hotele, rozległe tereny takiego Hyde Parku, lub Regents Parku. Specjalną sławą cieszy się park w Wimbledon Common, gdzie znajduje się niewielkie jeziorko zwane Jeziorem Królowej Matki. Jego zarośnięte brzegi są świątynią homoseksualizmu, a towarzystwo tam bywające, tak sobie znane i dobrane, że pojawienie się przedstawicieli władzy jest natychmiast sygnalizowane błyskami lampek kieszonkowych i brzegi jeziorka pustoszeją.

Kończąc ten opis spraw tak niezwykłych, a tak trudnych z medycznego i socjologicznego punktu widzenia, pragnę przeprosić moich Czytelników na wypadek, gdyby któraś z podanych tu informacji okazała się niezupełnie ścisła. Dwie są tych przeprosin przyczyny: primo — nie łatwo udokumentować wszystko, co dotyczy ludzi żyjących permanentnie w podziemiu, i secundo — przytoczonych faktów autor niniejszego reportażu nie zna — na miłość boską — z autopsji.

---

i jest członkiem komisji kongresowej, kierującej całością prac agencji federalnych do walki z mafią...

„Cosa Nostra" przeniknęła nawet do organów sądownictwa. Istnieje też mafijny „taryfikator", ustalający wysokość łapówek dla sędziów różnych szczebli. Za pomocą mikrofonu, który FBI zainstalowało w lokalu miejscowej organizacji partii demokratycznej, w jednym z rejonów Chicago, udało się agentom FBI podsłuchać rozmowę sędziego stanu Illinois, Pasquale Sorrentino z „kolegą" z chicagowskiej „rodziny Cosa Nostra" — Patem Marcy. Jak postąpić — pytał Sorrentino — jeśli agenci federalni FBI zainteresują się moimi kontaktami z gangsterskim światem? Odpowiedź Marcy: „Zachowuj się z godnością. Na takie pytania nie odpowiadaj. Powiedz im, że chcą cię zbić z tropu. Przejdź do ataku. Pamiętaj, że jesteś sędzią!..."

Otóż to: „jesteś sędzią". Ale szkopuł w tym, że i Sorrentino, i jego niektórzy koledzy zarówno w sądzie federalnym, jak i w sądach stanowych zapominają o tym właśnie fakcie — że są sędziami.

Przenikanie do świata biznesu stwarza warunki najszybszego zdobywania dochodów. Interesy mafii obejmują około pięciu tysięcy firm. Penetracja „Cosa Nostra" we wszystkie dziedziny życia gospodarczego i finansowego stała się dziś bardzo niebezpieczna i przynosi ogromne szkody interesom kraju. „Cosa Nostra" dysponuje kapitałem obrotowym największym spośród wszystkich nielegalnych organizacji w świecie. Carlo Gambino i jego milutka „rodzina" dysponują w Nowym Jorku ogromną nieruchomością, szacowaną na 300 milionów dolarów. Inny właściciel nieruchomości, milioner Marcello z Nowego Orelanu, trudnił się wykupem ziemi w rejonie, w którym projektuje się budowę federalnej autostrady. Teraz czeka, aż rząd odkupi od niego te tereny, oczywiście po wyższej cenie.

Gangsterskie organizacje mafii stosują nieraz środki bezwzględnego nacisku, nie cofając się przed niczym. Oto po uchwyceniu kontroli nad firmą, produkującą środki piorące, przywódcy potężnej grupy gangsterskiej „Cosa Nostra" w Nowym Jorku i New Jersey, bracia Katena, usiłowali zmusić gigantyczną kompanię „Atlantic and Pacific", handlującą towarami kolonialnymi, do sprzedawania środków piorących pod szyldem kompanii. Przedstawiciele „Atlantic and Pacific" odrzucili tę propozycję. Wówczas bracia Katena uciekli się do tradycyjnych metod „przekonywania". Na wstępie zamordowano czterech pracowników kompanii, następnie w sześciu magazynach „Atlantic and Pacific" wybuchły bomby zapalające i wreszcie dwóch miejscowych bossów związkowych zagroziło zorganizowaniem strajku robotników, zatrudnionych w kompanii...

Zagrabione miliony lokują członkowie mafii w bankach zagranicznych. Takim ulubionym krajem okazała się Szwajcaria z jej zaszyfrowanymi kontami bankowymi. Z owych tajnych szwajcarskich skarbców część to wracają te pieniądze do USA w formie rzekomych „pożyczek" zagranicznych na cele inwestycyjne. Na żądanie okazania dokumentu o dodatkowym zabezpieczeniu finansowym importu grających szaf, filadelfijski boss „Cosa Nostra", Angelo Bruno, natychmiast przedstawił czek, z pokryciem banku szwajcarskiego. Opiewał on na bagatelną sumę... 50 milionów dolarów.

Wydaje się, iż „Cosa Nostra" pozostanie na zawsze w historii kryminologii, jako jedyna organizacja przestępcza, która sztukę korupcji doprowadziła do perfekcji. Bez tego „Cosa Nostra" nie przeżyłaby nawet roku. Pokusie grubych łapówek ulegają nie tylko miejscowe władze policyjne.

W 1963 roku do ministerstwa sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych wpłynął raport o zuchwałym włamaniu do banku w Las Vegas. Już po upływie trzech dni dokładna kopia tego raportu znajdowała się w rękach przestępców, biorących udział w napadzie. Jasne, że w tej sytuacji ani miejsce, w którym schronili się gangsterzy, ani zagrabione łupy nie zostały nigdy odnalezione.

Dokąd w żadnym rozwiniętym kraju świata zachodniego nie odnotowano tylu zbrodni i innych przestępstw, co w Stanach Zjednoczonych. Amerykańskie stosunki społeczne stwarzają pomysłowemu i obrotnemu przestępcy nieograniczone wprost możliwości stosowania w praktyce jego przestępczych talentów... Ale najgorsze jest to, że my sami, Amerykanie, naszą postawą, naszą tolerancją, a nieraz nawet adoracją, pomagamy przestępcy, pozostawiamy mu szerokie pole do działania. Kwitną gry hazardowe, ponieważ ludzie chętnie im ulegają. Działacze polityczni z wątpliwą reputacją pozostają nadal na swoich stanowiskach, ponieważ zgadzają się na to wyborcy. Przedsiębiorcy teatralni przymykają oczy na nieuczciwą drogę zdobywania pieniędzy, ponieważ rzekomo „biznes jest biznes". A przecież dewiza ta jest równie sprzedajna, jak i politycy-łapówkarze".

Zewsząd o wszystkim

Przeszłość i teraźniejszość

o pożytkach z pisania listów

Epoka radia, telewizji i centrali telefonicznej niesie nieuchronny upadek sztuki epistolograficznej. Kto z nas dziś pisze tyle i takich listów, jakie kreślili nasi przodkowie? Nie mówmy od razu o Józefie I. Kraszewskim, którego zachowana korespondencja jest tak obfita, że trzeba by strawić lata na jej... przeczytanie. A to co zaginęło? A gdzież miał on jeszcze czas na to, co było wszak podstawowym, najważniejszym jego zatrudnieniem: pisarstwo i publicystykę? Nie jest to sprawa tylko techniki. Wówczas nikt nie pisał na maszynie. Coś się zmienia w nas samych, w naszym stosunku do pisanego słowa, do procesu pisania. Piszemy mniej i chyba przywiązujemy do pisania inne znaczenie niż czyniło się to dawniej. Nie kreślimy słów na kartce pocztowej czy papierze listowym dla potomności, nie zamierzamy przekazać ich przyszłym pokoleniom: pragniemy prosto załatwić sprawę. I koniec.

Może dlatego tak lubimy zaglądać do dawnej korespondencji. Nie tylko z tego powodu, że jest ona c u d z a, a więc w jakiejś mierze zaspokaja naszą rozbudzaną przez świat, w którym żyjemy ciekawość. Także dlatego, że jest ona znacznie bogatsza w treść od naszych własnych listów. Lepiej pokazuje osobowość autora niż czyniłyby to nasze listy, gdyby je udało się komu zebrać i zanalizować. Ja w każdym razie ogromnie lubię czytanie starych listów i uganiam się po księgarniach, skoro się ich jaki zbiór ukaże.

Tym razem w zaprzyjaźnionej stołecznej redakcji (nazwy nie wspomnę w obawie przed skutkami) świsnął mi niewielki tomik wydany przez szacowną Polską Akademię Nauk — Oddział w Krakowie opatrzony tytułem „Korespondencja Pawła Stalmacha". Niewiele wiemy o czołowych przywódcach polskiego ruchu na Śląsku więc pomyślałem sobie, że przynajmniej do pociągu to mi starczy. Myliłem się — lektura zajęła mi całe następne przedpołudnie. Nie dlatego, by były to listy literackie, piękne na sposób listów Trembeckiego do króla. Nie dlatego, aby były to listy wyświetlające tajemnice dyplomatyczne, jakich wiele w korespondencjach mężów stanu. Nie pisano ich dla potomności, są codzienne i proste, świadczą o codziennym trudzie redaktora „Gwiazdki Cieszyńskiej" i jego licznych kontaktach z rodakami. Doskonale oddają atmosferę polskich narodowych kręgów na Śląsku Cieszyńskim w drugiej połowie XIX stulecia. Pozwalają przybliżyć się do tego jakże trudno uchwytnego dla historyka swoistego klimatu tej dzielnicy śląskiej w dobie bujnego rozwoju polskiej świadomości narodowej wśród jej mieszkańców, świadczą o żywej świadomości narodowej polskiego śląskiego chłopa czy inteligenta. A kiedy nastała chwila nadziei — w dobie Wiosny Ludów — dają poznać, jak silne były marzenia o połączeniu się z państwem polskim, z ową Polską, która jak wierzono, na pewno powstanie z letargu. Właśnie młody Stalmach w atmosferze rewolucyjnego Wiednia 1844 roku kreślił do przyjaciela te słowa: „A czyby to i materyalnego zysku oprócz każdego innego nie przyniosło Ślązakom przypojić się do Polski? Uważaj!: między Niemcami będzie Śląsk zawsze ostatnia a sierota prowincya — między Polakami byłaby pierwszą co do industryi". Kilka dni później użyje innych argumentów: „Niechaj że powstanie wszystek lud wiejski a wyżenie precz tych Niemców. (...) Bracie, zrób rewolucyę, jeśli my późno przyjdziemy. Wszak cały naród słowiański pamięta o nas i Polacy pamiętają na nas — a nasz lud jest stworzony i geograficznie przeznaczony do Polski. A cóż jeszcze? Oszelda, Kotula (polscy studenci ze Śląska Cieszyńskiego przebywający wówczas wraz ze Stalmachem w Wiedniu — J.G.), a ja pono za niedługo, jeśli się Cieszynianie nie poprawią, przyjdziemy do Was, zbierzemy pieniędzy, a wypędzimy do czarta wszystkie Niemczuchy — a pójdzie my do Polaków, a z Polakami nazad. (...) Chodź a głoś: patrzcie chłopi: to we waszych proroctwach jest, że Odra, rzeka śląska, musi należeć do Polski — a to się ma stać do 50 roku. A proroctwa są święte (...). Polska się podźwiga i na nas Ślązakach czas, abyśmy sobie powstali z nią, bo inaczej będzie nieskoro — źle! Jakby mieli Cieszynianie taką mierziączkę (tj. przykrość) mi robić, jako mi piszesz, to osiędę raczej w Krakowie..."

Paweł Stalmach był redaktorem polskiego pisma „Gwiazdka Cieszyńska", w którym umieszczał teksty dostarczane mu przez autorów z całego kraju. Z kart korespondencji poznajemy jego codzienne kłopoty i troski, zewsząd wyziera mnóstwo trudności, a wśród nich najczęściej brak funduszów. Działalność redaktora spotykała się z żywym odzewem w różnych środowiskach na ziemiach polskich, popierali ją wybitni pisarze, działacze polityczni i uczeni. Ale redakcja nie zawsze zdołała uniknąć błędów w swej pracy. Cóż jednak jest dla redaktora błędem? Czasy się zmieniają i odmieniają się ludzkie zainteresowania oraz gusty. Dziś z uśmiechem odczytujemy rady, jakich udzielał Stalmachowi nieznany czytelnik pisma: „Unikać (...) warto wiadomości, które nikogo interesować nie mogą, np. Europa ma tyle, Azja tyle, a Ameryka tyle mieszkańców. Na dzień umiera w świecie całym tyle a tyle ludzi. W Australii zawarto tyle małżeństw. We Francji odbyło się tyle procesów. W Anglii umarło gwałtowną śmiercią tyle a tyle. (...) Turek miał 19 dzieci, a żona 12. Eskurjal ma 7000 kolumn, 10000 okien, klucze ważą 1000 funtów..." A może Pan, Panie Redaktorze jest innego zdania?

JÓZEF GRZELAK

spektakle tygodnia

TEATRY

	spektakli	widzów	proc.
WIELKI			
„Faust",	2	2520	100
NOWY			
„Życie jest snem",	2	800	60
„Szkoła kobiet",	1	800	60
„Sędziowie",	1	350	50
„Dziś do ciebie przyjść nie mogę",	1	700	100
NOWY			
„Bliski nieznajomy",	1	150	75
Mała Sala			
„Księżyc świeci nieszczęśliwym",	1	200	100
„Kaprys",	1	200	100
POWSZECHNY			
„Kawior i kaszanka",	2	1100	90
„Boso ale w ostrogach",	2	1320	100
„Radziwiłł Panie Kochanku",	1	550	90
JARACZA			
„Pan Jowialski",	5	2765	87
7.15			
„Adela i stressy",	6	2196	86
OPERETKA			
„Skrzydlaty kochanek",	6	5513	82
FILHARMONIA			
Koncerty symfoniczne	2	1400	100

TP OBIEKTYW

Sylwetki X Muzy

Nie robi się wiele hałasu wokół pożytecznej i kulturalnie prowadzonej przez Czesława Radomińskiego pozycji programowej. A to już prawie od czterech lat prezentuje Telewizja Poznań wybitnych aktorów filmowych. Ostatni program z cyklu „Sylwetki X Muzy", 94 z rzędu, uczynił bohaterem wieczoru popularnego aktora łódzkiego Ludwika Benoit.

My, łodzianie, rzadko jesteśmy skłonni składać sobie na wzajem dowody uznania, dobrze więc, że pamiętają o tym inni. Tak więc doczekał się nasz Ben pewnego podsumowania własnej drogi artystycznej. Tyle że przed kamerami poznańskimi. A zasłużył sobie na to pracowitym żywotem aktorskim na pewno! Blisko trzydzieści ról filmowych, dziesiątki kreacji teatralnych, nie mniej chyba telewizyjnych. Do tego liczne reżyserie.

Trzeba więc przyklasnąć Czesławowi Radomińskiemu z powodu jeszcze jednego trafnego wyboru i cieszyć się z benefisu telewizyjnego Ludwika Benoit. Prowadzący miał zresztą w łódzkim aktorze doskonałego rozmówcę. Benoit ma bowiem niezwykle poważny stosunek do swego zawodu i niepoprawny zwyczaj towarzyszenia reżyserom własnym procesem intelektualnym przy budowaniu postaci scenicznej, filmowej, czy telewizyjnej.

Benoit umie więc interesująco mówić o postaciach, które kreował, ma też znakomite poczucie humoru (nie przesadzę twierdząc, że należy do najdowcipniejszych ludzi w naszym mieście), co bardzo dopomaga mu w pracy nad rolami komediowymi. Pamiętamy go jednak i w świetnych rolach tragicznych, choćby jako starego Lona w „Drewnianej misce" Morrisa, czy Rotmistrza w „Ojcu" Strindberga.

Nie mogłem sobie odmówić tych kilku ciepłych słów pod adresem naszego aktora. Ale teraz przejdźmy do omówienia wartości „Sylwetek X Muzy" jako programu cyklicznego. Stanowi on dobre wykorzystanie specyfiki telewizyjnej dla kształtowania smaku artystycznego szerokiej publiczności.

Na scenie, czy na ekranie kinowym aktor występuje w zespole, nie może być eksponowany kosztem partnerów. Telewizyjne prezentacje aktorow skupiają uwagę widzów na jednym tylko wybranym aktorze, ukazują jego walory z rożnych stron, korzystają z możliwości przeplatania rozmowy przed kamerą fragmentami filmów, w których dany aktor występował. Projekcje te mają jakby charakter retrospekcji.

Jeżeli bohaterem programu jest człowiek, który od kilkunastu lat gra regularnie w filmach, tak jak to miało miejsce w wypadku Ludwika Benoit — wówczas retrospektywne projekcje składają się na przekrój dziejów naszej kinematografii. Ukazując więc osobę aktora w różnych filmach, Radomiński gromadzi jak gdyby przyczynki do historii powojennego filmu polskiego.

Ostatnio w tymże cyklu programowym pojawiają się także sylwetki aktorów zagranicznych. Wtedy bohaterowie są oczywiście nieobecni w studio, a prelekcję Radomińskiego przerywają fragmenty filmowe. Tak było na przykład z prezentacją Kim Novak.

Przyznam się, że psuje to nieco jednorodność i klarowność cyklu. Nie chodzi o jakiś partykularyzm. Programy poświęcone zagranicznym gwiazdom ekranu mają w telewizji jak najbardziej rację bytu. Ale czy trzeba je włączać do cyklu „Sylwetki X Muzy", do którego charakteru już się przyzwyczailiśmy, a którego najciekawszą bodaj stroną są intymne zwierzenia aktorów, które Radomiński umie zręcznie prowokować?

Tamatu chyba nie braknie. Dziewięćdziesiątka polskich aktorów filmowych zaprezentowana w ramach tych programów, to przecież mała część tych, którzy na popularyzację zasługują.

Można by też odchodzić śmielej od schematu. Zapraszać na przykład dwóch lub więcej aktorów naraz i doprowadzać do interesujących konfrontacji postaw, poglądów na sztukę filmową i na aktorstwo. Można, rezygnując ze stereotypowego życiorysu artystycznego aktora, pomówić z nim o roli, nad którą aktualnie pracuje, i temu poświęcić cały program, ilustrując go wstawkami nakręconymi na planie podczas powstawania nowego filmu.

Słowem dziękujemy za dotychczasowe interesujące programy z cyklu „Sylwetki X Muzy" i prosimy o dalsze. Oby jak najciekawsze!

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Wśród wielu interesujących premier tegorocznych Dni Filmu Radzieckiego wyróżnić należy film **„TRZY DNI WIKTORA CZERNYSZEWA"**, którego twórcami są debiutanci: scenarzysta J. Grigoriew i reżyser M. Osepjan. „Trzy dni Wiktora Czernyszewa" to bez wątpienia jeden z najbardziej pasjonujących i angażujących w dyskusję o młodym pokoleniu filmów, jakie w najbliższej nam współczesności zrealizowano.

Jego wartości szukać będziemy nie tylko w niebanalnym, odważnym, sondującym rzetelnie i wnikliwie portrecie kilku zróżnicowanych przedstawicieli środowiska młodzieżowego lecz również w postawie twórców, którzy odbiorców swego filmu potraktowali nadzwyczaj poważnie. Zrezygnowali z wykładu o ideale bohatera pozytywnego na rzecz poszukiwań prawdy o człowieku autentycznym, na rzecz penetracji rzeczywistości, w której ów człowiek ma szansę stać się tym bohaterem pozytywnym, lecz zależy to w głównej mierze od znalezienia w niej dla siebie miejsca aktywnego.

Scenarzysta, reżyser i wykonawca głównej roli G. Korolkow rysując portret Wiktora Czernyszewa przedstawili egzystencję jednego ze współczesnych, egzystencję bezbarwną, której sygnałem wywoławczym jest bierność wobec rzeczywistości zastanej, przyniesionej przez życie, w którym się uczestniczy na zasadzie mechanicznego poddawania się okolicznościom towarzyszącym.

W tym obrazie życia pasywnego jest jednak miejsce na analizę jego uwarunkowań i okoliczności, które portret młodego Czernyszewa uczynią tak odmiennym od możliwych portretów jego rówieśników wychowanych w innej formacji polityczno-społecznej. Dystans Wiktora wobec świata dorosłych i ich ideałów idzie w parze z nieuchronnym ciążeniem ku wielkiej tradycji heroicznej przeszłości narodu, ku tradycjom rodzinnym, a wreszcie ku życiu, którego cele określa autentyczna szansa bycia w społecznym kolektywie.

Wszystkie te sprawy wchodzą w życie Czernyszewa, na zasadzie mieszania się rzeczy wielkich i małych, w których trzeba wybierać, które trzeba oceniać, by móc ukształtować siebie, by znaleźć w tym wszystkim sens, określić swe własne życie. Jeśli Wiktor nauczy się wybierać, a wiele jego reakcji na to wskazuje, zdoła uniknąć największego niebezpieczeństwa jakie mu grozi — bierności.

Film „Trzy dni Wiktora Czernyszewa" jest właśnie protestem przeciw postawie kibica, jest protestem wypowiedzianym w sposób nadzwyczaj przekonywający, nie zawsze trzeba przy nim krzyczeć. Dla jego prezentacji zaś wybrano formułę kina nowoczesnego, w którym porwana, na pozór niespójna narracja niesie niemal dokumentalne obrazy autentycznej rzeczywistości. Każdy z epizodów legitymuje się jednak wewnętrzną dramaturgią, która służy za każdym niemal razem prezentacji niepokojów sumienia młodego bohatera i najwierniejszemu odtworzeniu obrazów życia społeczno-obyczajowego środowiska, w którym on się obraca.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

* * *

Mimo ambicji i chyba niekomercjalnych zamiarów, reżyser Costa-Gavras nie zdołał w swym filmie **„O JEDNEGO" ZA WIELE"** wyjść daleko poza konwencję wojennego filmu przygodowego. Opowieść o dziejach jednego oddziału partyzantów, francuskich „maquis" pozostała przede wszystkim efektownym widowiskiem. Piszę pozostała, gdyż niewątpliwie zamierzenia twórcy szły w kierunku nasycenia tej wojennej opowieści o francuskim Ruchu Oporu ważką problematyką moralną i psychologiczną.

Zjawia się ona w filmie wraz z postacią owego „jednego za wiele" w gronie uwolnionych przez „maquis" członków Ruchu Oporu z hitlerowskiego więzienia. Wśród członków oddziału znajdzie się człowiek, wokół którego zawiążą się wszystkie dramatyczne konflikty i który pośrednio stanie się przyczyną tragicznych wydarzeń. Stanie się to wbrew niemu. Ów „trzynasty człowiek" manifestuje bowiem swój pacyfizm, swą niechęć do rozróżniania dobra i zła, swą absolutną izolację od toczących się wokół niego zdarzeń wojennych.

Przez uwikłanie tego człowieka w nieodwracalny bieg wydarzeń, uczynienie z niego pośredniej przyczyny klęski oddziału i przez paradoksalną pointę reżyser eksponuje tezę o niemożności pozostawania na uboczu, o wyższym nakazie dokonywania wyboru, gdyż w przeciwnym razie ów wybór zostanie wykonany niejako poza nami a nawet wbrew nam.

Twórcę filmu interesują również układy psychologiczne i różnorodne ludzkie reakcje członków oddziału nie tylko na postawę „trzynastego", ale na sam fakt pozostawienia go w oddziale. Tutaj jednakże odnajdujemy najsłabsze momenty filmu Costy Gavrasa, bowiem w żaden sposób nie udaje się całej plejadzie gwiazd kina francuskiego przekonać nas, że są członkami Ruchu Oporu.

Niewątpliwie zaś atuty filmu tkwią w efektownej realizacji scen batalistycznych, w sprawnej konstrukcji, która zdołała posłużyć jednak głównie przekazowi opowieści w konwencji wojenno-przygodowej.

EWA NURCZYŃSKA

Półka z książkami

NAWAŁNICA

Wincenty Burek debiutował w roku 1935 „Drogą przez wieś" głośną przed laty książką o wsi Ociinek. „Nawalnica" wydana aktualnie przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą to niejako dalszy ciąg tamtego debiutanckiego tomu — z tym, że w swej nowej książce Burek ukazuje swoją rodzinną wieś w trudnych i tragicznych nie raz warunkach wojny i pierwszych lat powojennych.

Wiele w tych opowiadaniach autentyzmu — sam autor przyznaje, że większość nowel wyrasta z rzeczywistych wydarzeń — jedynie trzy ostatnie pozycje „Nawalnicy" odchylają się od normy będąc w swej treści próbą literackiej konstrukcji — także zresztą osnutej na autentycznym tle.

A więc autentyzm? Tak jest, ale literacko nienaganny. Jeśli jest w tych opowiadaniach chropowatość — to zamierzona, jeśli jest zapis gwary to dla podkreślenia kolorytu...

Nieschematyczna i prawdziwa jest ta książka — może właśnie dlatego rok 1949 był dla niej niełaskawy i wydawnictwo zrezygnowało wówczas w ostatniej chwili z publikacji. Opowiadania z tego tomu ukazały się dopiero w 1956 roku. Obecnie w ślad za wznowieniem „Drogi przez wieś" czytelnik otrzymał naturalną jej kontynuację w wersji pierwotnej.

J. W.

Wincenty Burek „Nawalnica" Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza — 1969, cena 10 zł.

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

WASILIJ DMITRIJEWICZ POLIENOW

„Sztuka powinna dawać szczęście i radość" — pisał do jednego ze swych przyjaciół, znakomity malarz rosyjski, Wasilij Dmitrijewicz Polienow, którego 125 rocznica urodzin przypada w tym roku. Był twórcą realistycznych, pogodnych i prześwietlonych słońcem pejzaży. Malował też sceny historyczne, batalistyczne i religijne.

Wasilij D. Polienow: „Ogród babuni".

Był człowiekiem nie tylko bardzo wykształconym i o dużej kulturze, ale także przejawiał dużą różnorodność swego talentu. Uprawiał malarstwo sztalugowe, był mistrzem w dziedzinie dekoracji teatralnej, znał się na architekturze, a wreszcie komponował utwory muzyczne.

Urodził się w Petersburgu w 1844 roku w zamożnej rodzinie. Jego ojciec był znanym archeologiem i bibliografem, matka portrecistką. Zgodnie z tradycją rodzinną, Wasilij odbywa studia prawnicze, ale równocześnie uczęszcza do Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu. W roku 1871 kończy naukę w obydwu uczelniach, a za jeden ze swych obrazów otrzymuje złoty medal. Następnie, uzyskawszy stypendium, wyjeżdża na artystyczne studia zagraniczne. Wraca w lecie 1877 roku, by na stałe zamieszkać w Moskwie. Posiada już w tym czasie poważny dorobek artystyczny, ale prawdziwą sławę przynosi mu obraz zatytułowany „Moskiewski dworek", płótno charakterystyczne dla całej twórczości Polienowa. Dzieło z dużą sugestią oddaje pełen uroku nastrój ówczesnego krajobrazu podmoskiewskiego. Biały domek wśród zieleni, skąpany w słońcu, z kopułami cerkwi w tle obrazu namalowany jest niezwykle subtelnymi pociągnięciami pędzla. Malarz z prawdziwym mistrzostwem oddaje grę barw, przejrzystość powietrza.

Polienowa pociąga głównie krajobraz, ale nie stroni też od malowania scen historycznych, religijnych, realistycznych postaci i scen rodzajowych.

W początkach Rewolucji Październikowej Polienow liczył sobie już 73 lata. Gdy w roku 1924 ma lat osiemdziesiąt otrzymuje od władz radzieckich tytuł lu dowego artysty Republiki.

Nad rzeką Oką, w pobliżu miasta Tarus (niedaleko od Moskwy) są okolice bardzo piękne, znane nam z opisów w książkach Paustowskiego. Tam to Polienow zakupił kawałek ziemi, aby założyć muzeum. Zaprojektował dom, w którym do dziś jest Muzeum im. Polienowa. Znajdują się tam zbiory sztuki gromadzone przez pięć pokoleń Polienowów. Tutaj też znajduje się wspaniała kolekcja eksponatów sztuki ludowej, które zbierała siostra artysty. Są też interesujące przedmioty artystyczne, jakie przywiózł Polienow ze swych podróży po Europie i Afryce.

ZMARŁA SONJA HENIE

W wieku lat 57 zmarła, w samolocie — ambulansie lecącym z Paryża do Oslo, słynna gwiazda figurowej jazdy na lodzie, Sonja Henie. Śmierć nastąpiła w momencie lądowania na norweskiej ziemi.

Sonja Henie jako kilkunastoletnia dziewczyna zdobyła po raz pierwszy w roku 1928 złoty medal olimpijski, a potem dwa następne złote medale na kolejnych olimpiadach. Zyskawszy światowy rozgłos łyżwiarka przeniosła się do Hollywood i występowała w wielu filmach i pokazach artystycznej jazdy na łyżwach. Po dwóch małżeństwach wyszła po raz trzeci, w roku 1956 za mąż za swego rodaka, zamożnego armatora norweskiego, znanego kolekcjonera dzieł sztuki, Nielsa Onstada. Oboje, sfinansowali zakończoną w zeszłym roku budowę wspaniałego, olbrzymiego Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Budynek, za projektowany przez dwóch młodych, utalentowanych architektów norweskich Eikvara i Engebretsena, wzniesiony o 20 km od Oslo, charakteryzuje mistrzowskie wkomponowanie w lesisty krajobraz nad malowniczym fiordem. W muzeum, tłumnie odwiedzanym przez miłośników sztuki i turystów, znajduje się bogata kolekcja malarstwa nowoczesnego.

DLA UCZCZENIA ROKU BEETHOVENA

Ludwig van Beethoven, wielki kompozytor niemiecki, urodził się 16 grudnia 1770 roku w Bonn. Wiele lat przebywał i tworzył w Wiedniu, gdzie zmarł w dniu 26 sierpnia 1827 roku. Od roku 1819 tworzył mimo zupełnej głuchoty.

W związku z obchodami w przyszłym roku dwusetnej rocznicy urodzin wielkiego kompozytora niemiecka firma „Deutsche Gram mophon" przygotowuje wypuszczenie na rynek wielkiego wydania płyt z nagraniami wszystkich utworów Beethovena. Ukaże się w sprzedaży dwanaście szkatułek zawierających łącznie 75 płyt, do których dołączone będą teksty sporządzone na podstawie prac archiwalnych.

Każda ze szkatułek zawierać będzie od trzech do czternastu płyt, zależnie od tego jakiemu rodzajowi twórczości kompozytora zostanie poświęcona. A więc poszczególne szkatułki zawierać będą wydzielone symfonie, koncerty na fortepian, kwartety smyczkowe, pieśni itd. Niektóre nagrania będą powtórzeniem znanych i świetnych nagrań jak sonaty na fortepian w wykonaniu Wilhelma Kempfa, czy symfonie pod dyrekcją Herberta von Karajana. Inne utwory Beethovena zostaną nagrane w zupełnie nowych wykonaniach, a niektóre utwory nagrane w ogóle po raz pierwszy.

SAMUEL BECKETT TEGOROCZNY LAUREAT NAGRODY NOBLA W DZIEDZINIE LITERATURY

Literacką nagrodę Nobla otrzymał w tym roku pisarz i dramaturg pochodzenia irlandzkiego, Samuel Beckett, wybitny przedstawiciel tzw. awangardy paryskiej.

Urodził się w roku 1906. Do roku 1945 pisał przeważnie po francusku. Od 1937 r. mieszka na stałe w Paryżu.

Przez jakiś czas był przyjacielem James Joyce'a, który jak wiadomo zerwał z tradycyjną formą powieści - i którego twórczość wywarła znaczny wpływ na literaturę współczesną.

Samuel Beckett zyskał rozgłos napisaną w roku 1952 sztuką sceniczną pt. „Czekając na Godota". Nie mniejszym powodzeniem cieszyła się też inna jego sztuka pt. „Końcówka". Napisał też m. in. powieść „Jak to jest" (1961). Znany jest również jako autor słuchowisk radiowych.

Wpływy egzystencjalizmu, skrajny pesymizm, ironia, wyrażanie bezsensu ludzkiej egzystencji — oto cechy pisarstwa Becketta.

„DZIEŃ DOBRY, PANIE GAUGUIN"

9 listopada w Genewie odbędzie się licytacja ok. 40 dzieł znanych malarzy. Wśród tych obrazów znajdzie się słynne płótno Gauguina zatytułowane: „Dzień dobry panie Gauguin". Obraz ma wymiary 75 na 54 cm. Przypuszcza się że cena osiągnie ponad milion, a być może nawet ponad dwa miliony franków szwajcarskich.

Bez strachu

ELEGIA POTWORÓW

Czego mi brak? — Oczywiście potworów. Niedostatek potworów czyni mnie ociężałym, przygnębionym, hamletyzującym, nostalgicznym. Gdyby tak jeden potwór, już nawet nie taki z trzema głowami, ziejący ogniem i pokryty łuską, już nie taki wielki jak kamienica, jak izba, jak piec. Ot gdyby taki jeden mały potworeczek, nawet taki, co koło nóg by się kręcił i zionął nie strumieniem ognia, ale jedną iskierką — nawet iskierką zimnego ognia. Krew by mi uderzyła do głowy, wpadłbym w furię, lub w śmiertelną trwogę — atakowałbym bądź uciekał (raczej uciekał) — wiedziałbym, że żyję, że nie poruszam się lecz pędzę, że jestem przyśpieszony, uintensywniony... Cóż to za świat?! Zie psy wywijają ogonami i liżą mnie po rękach, samolubne i ponoć fałszywe koty, płaczą niemal ludzkim głosem przed rozstaniem, stare plotkujące kobiety mają serca pełne matczynej życzliwości. Nie masz już nie masz potworów. A szkoda — bardziej niż sądzimy były potrzebne. Potwory gwarantowały swoim istnieniem i działalnością realność reszty świata — potwory były ostoją wszelkiego humanizmu i racjonalizmu. Mianowicie jednym punktem nie realnym (fantastycznym), niehumanistycznym rzeczywistości były potwory — drugi natomiast biegun rzeczywistości, opatrzony przeciwwagą potworów był realny, humanistyczny, racjonalistyczny. Ten stan rzeczy zapewniał harmonię świata. Niedostatek potworów, bo brak ich zupełny jest przyczyną obecności elementów niehumanistycznych, nierealnych, nieracjonalnych w świecie ludzkim. Przez brak potworów tworzymy fikcję, przez brak potworów komponujemy sobie nieludzką wizję świata, przez brak potworów podważamy rozum i wiarygodność poznania. Gdyby tak było wiadomo, że gdzieś siedzi jeden chociaż smok i na przemian gadając ludzkim głosem i ziejąc ogniem gotuje się do zjedzenia jednej do tego przygotowanej i w istocie tego pragnącej dziewicy. Ilu to rycerzy znalazłoby się między nami, ilu to dosiadłoby rumaków (znalazłyby się i rumaki). Brak smoka, zatem brak i rycerzy... Cóż to za rycerz, który nie ma w kogo godzić kopią i mieczem. Cóż to za mędrzec poznający rzeczywistość kompletnie niepotworną i dlatego właśnie poznanie przedziwnie oporne, rzeczywistość kokieteryjną — mędrzec po pracy śpi i bełkoce przez sen — materia to siła, czy bryłka... i śnią mu się olbrzymie bryły, które ze świstem ulatniają się w energię, tak, że ten przekształcający poryw w przestrzeni jego snu zrzuca mu z głowy kapelusz. Cóż to za człowiek, prawidłowo zbudowany i myślący, a cofający się przed czarnym kotem, który przebiegł drogę i wierzący, że w karcianych wróżbach „to jednak coś jest", Gdyby tak potwór. Byłby prawdziwy rycerz i mędrzec i człowiek. Ale nie ma, nie ma już potworów, szukać ich daremnie — bardziej niż sądzimy są potrzebne.

BERNARD SZTAJNERT

od niedzieli do niedzieli

PIĘKNA DEKADA

KTO ZAGRA? — OBOPÓLNE DZIAŁANIE — WYDARZENIE ARTYSTYCZNE — MAJA W POLSCE — SYBERYJSKA EGZOTYKA — DNI KSIĄŻKI RADZIECKIEJ

Nie przepadamy właściwie za zmasowanymi imprezami kulturalnymi — wiemy bowiem, że po dniach tłustych następują chude miesiące. Zupełnie inaczej ma się rzecz z przebiegającymi aktualnie Dniami Kultury Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. To nie jest tylko okazjonalna galówka — to prezentacja wszechstronnego i różnorakiego dorobku artystycznego, prezentacja będąca przecież podsumowaniem niejako 25-letniej polsko-radzieckiej współpracy kulturalnej.

Ten fakt jest wystarczającym uzasadnieniem dla pełnej gali i rozmachu Dni Kultury Rosyjskiej FSRR. Ten fakt winien również ustrzec kompetentnych ludzi przed pewnymi nieręcznościami organizacyjnymi. Korzystam z praw felietonisty aby wyrazić zdziwienie, że Pagart proponował Łodzi orkiestrę Filharmonii Leningradzkiej wyłącznie w charakterze muzycznego uzupełnienia wieczoru baletowego. Potem anulowano tę dziwną decyzję i leningradzcy filharmonicy mieli wystąpić ze swoim normalnym programem. W wieczorze baletowym natomiast grać miała orkiestra Teatru Wielkiego... Ale przecież wyjechała na Festiwal Operowy do Poznania! Prasa doniosła więc, że wystąpi orkiestra ŁRPR pod dyrekcją Henryka Debicha... W końcu okazało się, że jednak zagra orkiestra Łódzkiej Filharmonii... W chwili kiedy piszę te słowa nie wiem jak to będzie naprawdę z orkiestrą na wieczorze baletowym.

Myślę, że podobnych nieprzyjemności należy unikać za wszelką cenę — nawet jeśli ogrom i rozmach imprezy przekracza ramy do których jesteśmy przyzwyczajeni.

Dni Kultury Rosyjskiej FSRR — święto artystyczne naszych wschodnich przyjaciół — zorganizowano w sposób tak kompletny tematycznie i gatunkowo — że właściwie mieści się w nich wszystko co jest sztuką i kulturą. W telewizji zapowiedziano już znakomity dramat Gorkiego „Mieszczanie" i „Pociąg pancerny" Iwanowa — sztukę należącą do rewolucyjnej klasyki w radzieckiej dramaturgii. W łódzkim, radiowym magazynie literackim mieliśmy przed paroma dniami ciekawe wynurzenia na temat przekładów z poezji radzieckiej i rosyjskiej. Czasopisma literackie publikują szereg bardzo interesujących szkiców na temat malarstwa, teatru, filmu, literatury...

Dlaczego przypominam sprawy powszechnie wiadome? Otóż dlatego, że owe Dni Kultury są według mnie bardzo wszechstronne właśnie dzięki wspólnemu działaniu Rosjan i Polaków. Nie tylko zachwycamy się Mają Plisiecką, nie tylko słuchamy orkiestry symfonicznej z Leningradu i oglądamy „Śpiącą królewnę" Czajkowskiego... Słowem — nie tylko przyjmujemy tę porcję artystycznych wrażeń przywiezionych przez radzieckich przyjaciół, ale — nasycamy programy naszych polskich „środków masowego przekazu" tematyką radzieckiej sztuki. I właśnie takie obopólne działanie nadaje Dniom Kultury rzeczywistą rangę wydarzenia.

O tej randze świadczy też fakt, że odwiedzają Polskę w czasie tych świątecznych dni ludzie sztuki na rzeczywiście wielką miarę. Wymieńmy choćby właśnie primabalerinę Maję Plisiecką, czy aktorkę Ludmiłę Czursinę (nagrodzoną w br. w San Sebastian za najlepszą rolę kobiecą), wymieńmy choćby Kirilła Ławrowa znanego z wielkich kreacji w „Żywych i martwych", „Nikt nie rodzi się żołnierzem" czy „Braciach Karmazow"... Albo słynnego człowieka „o stu twarzach" — Arkadego Rajkina...

Mamy okazję zapoznać się z osiągnięciami artystycznymi Kraju Rad nie tylko w kształcie filmowym czy muzycznym. Duże zainteresowanie wzbudziła na przykład zapowiedź zespołu tańców narodowych Syberii z Krasnojarska.

W Łodzi tego rodzaju duże egzotyczne ensamble mają zawsze powodzenie — a trzeba przecież pamiętać na dodatek, że Syberia to co prawda Rosja ale także egzotyka. Te wszystkie ludowe melodie i układy choreograficzne Chasaków czy Tuwińców poszerzyły w sposób niewątpliwy naszą wiedzę o kulturze stu narodów Kraju Rad.

Na zakończenie słowo o ciekawej imprezie, która, choć organizacyjnie nie mieści się w ramach dekady — to jednak tematycznie jest z nią integralnie związana. Myślę o Dniach Książki Radzieckiej, rozpoczynających się w końcu października. Tegoroczne Dni poświęci się głównie 100 rocznicy urodzin Lenina, ale niezależnie od tej pomnikowej okazji dużą wagę przywiązuje się do prezentacji bogatej kultury narodów Związku Radzieckiego. W 12 łódzkich księgarniach eksponuje się wystawy z tego właśnie zakresu. „Sztuka radziecka", „Muzyka rosyjska i radziecka" — oto niektóre z tematów wystaw.

Tak więc już po oficjalnym zakończeniu dekady — będziemy mieli następną ciekawą imprezę kulturalną wschodniego sąsiada. Tkwi w tym właśnie istota naszych kulturalnych kontaktów; zbliżenie dwu krajów i różnych kultur nie od święta, ale właśnie na co dzień. Tak jak to bywa tylko wśród przyjaciół.

JERZY WIDOK

PETER CHEYNEY

Podejrzliwość

Dokończenie

Alojzy ukłonił się dwornie.

— Księżno, jestem do dyspozycji. Zrobię to, czego pani sobie życzy. Teraz muszę jeszcze wiedzieć, gdzie znajduje się kasa pancerna, no i proszę o różne dodatkowe informacje. Potem mogę zacząć działać.

Po wypiciu jeszcze czterech cocktaili uścisnęli sobie ręce na pożegnanie.

— Ma pan stalowe nerwy — stwierdziła księżna. — Jestem zadowolona, że pana spotkałam. Możliwe, że gdy wrócę tu za trzy lub cztery dni, będę miała trochę więcej czasu. A teraz do widzenia. Oto dwa tysiące franków.

Alojzy schował pieniądze.

— Pracować dla pani, księżno, to prawdziwa przyjemność.

Wieczorem o godzinie dziesiątej Alojzy, w czarnym płaszczu, szedł brzegiem plaży dopóki nie znalazł małej łodzi. Pchnął ją na morze i powiosłował w kierunku jachtu Cigale. W dwadzieścia minut później znalazł się przy statku. Wyjął wiosła z wody i nadsłuchiwał. Wokoło panowała cisza. Przywiązał łódź do liny kotwicznej i wdrapał się na pokład. Po trzech minutach był na mostku kapitańskim. Posuwając się bezszelestnie w cieniu kabiny, zbliżył się do schodków, które prowadziły w dół. Słyszał, jak ktoś z załogi nucił półgłosem piosenkę.

Alojzy szybko znalazł kajutę Cheruinowa. Pchnął ostrożnie drzwi, były otwarte. Skierował wiązkę światła elektrycznej latarenki na łóżko, gdzie książę spał twardym snem pijaka.

Za obrazem we wnęce znalazł kasę pancerną. Wyjął z kieszeni kartkę, na której książ na wypisała kombinację cyfr. Bez trudu otworzył. zatrzask. Na górnej półce leżał futerał z niebieskiej skóry. Alojzy obciągnął dokładnie rękawiczki na palcach i uniósł wieko futerału. Wewnątrz, w całej okazałości swego pół miliona franków leżała diamentowa kolia!

Zamknął futerał, włożył go do kieszeni i cicho wrócił na mostek.

O godzinie jedenastej wszedł do hotelu Imperial. Rozejrzał się po sali restauracyjnej. Za chwilę miało się rozpocząć zwykłe nocne przedstawienie. Zobaczył doktora Klaata przy stoliku w pierwszym rzędzie. Uśmiechnął się zadowolony z sytuacji. Poczekał, aż przytłumiono światła i zajął miejsce blisko Klaata, za jego plecami. Przywołał znanego sobie kelnera.

— Filipie, przygotowuję kawał. To tajemnica. Proszę cię, zanieś ten futerał doktorowi Klaatowi i zapytaj, czy jest jego własnością. Lecz proszę tego nie dotykać. Kładę futerał na tacy... A oto dwieście franków za fatygę.

Nie zdjąwszy jeszcze rękawiczek, Alojzy położył futerał na srebrnej tacy. Obserwował, jak kelner zbliżył się do Klaata. Jak ten wziął futerał, zbadał go potrząsnął przecząco głową i położył znów na tacy. Kelner wrócił do Alojzego.

Tavish wbiegł do swego pokoju, wyjął futerał z kieszeni i włożył do środka diamentową kolię. Potem umieścił wszystko w zaklejonej kopercie, na której napisał drukowanymi literami: „Dla księżny Cheruinow. Doręczyć na jej żądanie".

Wziął kapelusz i wyszedł. Zatrzymał taksówkę i pojechał do kawiarni. Zamówił butelkę wina. Następnie przywołał gońca i wręczył mu pakiecik. — Zanieś to natychmiast do hotelu Imperial — rozkazał. — Złóż jako depozyt w kasie pancernej do dyspozycji księżny Cheruinow. Powiedz im, że pakiecik przysyła doktor Teodor Klaat.

Po odejściu chłopca Alojzy zapłacił rachunek i szybko wrócił do hotelu. Zaczekał w hallu dopóki nie zobaczył jak chłopiec przekazuje pakiecik administracji biura. Potem wypił whisky z wodą sodową i poszedł spać.

Nareszcie udało mu się okpić Klaata!

Następnego dnia o dwunastej pan Edward Birache, komisarz policji w Nicei, udał się do hotelu Imperial i wyraził życzenie rozmowy z panem Alojzym Tavish. Pan Tavish był w swoim pokoju.

— Panie Tavish — zaczął Birache — znamy pana dobrze, naturalnie. Jest naszym obowiązkiem wiedzieć, kto przyjeżdża do Nicei, a pańska reputacja jest, powiedzmy sobie, raczej międzynarodowa.

Tavish uśmiechnął się ze zrozumieniem.

— Dziś rano — opowiadał dalej komisarz — doniesiono mi, że z jachtu Cigale zginęła diamentowa kolia księcia Cheruinowa. Rozmawiałem już z doktorem Klaatem telefonicznie. Doradził mi, abym zwrócił się w tej sprawie do pana.

Alojzy uśmiechnął się.

— Komisarzu Birache — powiedział — na pewno przydam się panu. Proszę słuchać. Ubiegłej nocy, około godziny dziesiątej, widziałem doktora Klaata jak jechał łodzią w kierunku jachtu Cigale. Podejrzewałem, że coś planował, więc nie spuszczałem go z oka. Wkrótce potem wrócił do hotelu Imperial, gdzie zdeponował jakąś paczkę w kasie pancernej administracji. Zdaje się, że była zaadresowana do księżny Cheruinow. Myślę także, że gdy zbadacie paczkę, będziecie mogli ustalić, kto miał ją w ręku.

Birache skinął głową.

— Rozumiem — rzekł. A zatem, monsieur, twierdzi pan, że nie miał pan nic do czynienia z tą kolią?

— Absolutnie nic — odpowiedział Alojzy zdecydowanym tonem.

Birache wziął kapelusz.

— Biedny, stary Klaat — mruczał Alojzy. — Myślę, że ten fakt będzie go kosztował z dziesięć latek, prawda panie komisarzu?

Komisarz policji odwrócił się z uśmiechem.

— Nic go nie będzie kosztował — odpowiedział. — Wprost przeciwnie. Oznacza to 16 tysięcy franków nagrody dla niego. Zabierając ze statku futerał zrealizował tylko mój pomysł, który ja sam podsunąłem księżnej, kiedy wczoraj przyszła do mnie z prośbą o pomoc. Nawet jej przyrzekłem, że osobiście zainteresuję się tą sprawą. Dziś rano administracja hotelu doniosła mi, że został zdeponowany pakiecik dla księżnej. Otworzyłem go i zobaczyłem kolię. Zatelefonowałem do doktora Klaata, który jednak skierował mnie do pana.

Birache zatrzymał się na progu hotelu.

— Ponieważ pan zapewnia, że to właśnie Klaat zdobył biżuterię księżny, więc te 16 tysięcy franków zostaną jemu wypłacone. Dobranoc, monsieur!

OPRAC. A. S.

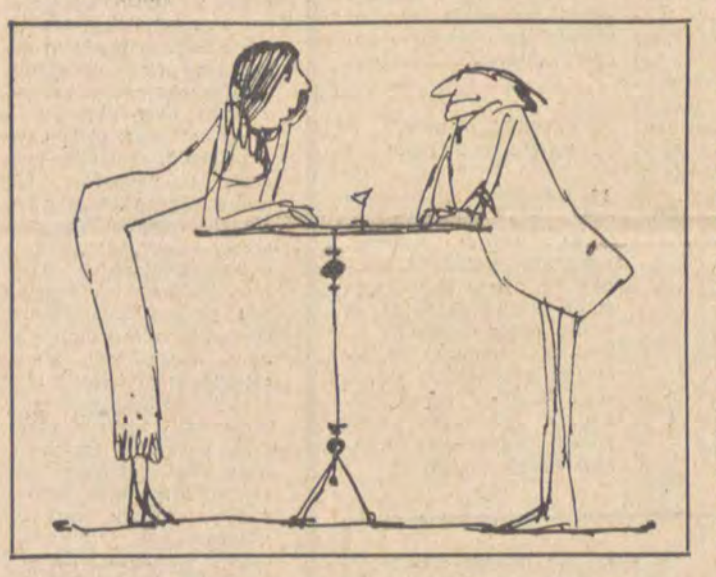

Lewym okiem

PIĘĆ PO WPÓŁ...

Nie ma już ulicznych zegarów. Były kiedyś znakiem rozpoznawczym warsztatu, w którym naprawiano stare zegary i sprzedawano nowe. Później te funkcje się rozdzieliły, sprzedaż pozostała w „pionie" handlu, naprawa awansowała do miana „usługi dla ludności". Handel objęło państwo, usługę — spółdzielczość. Reklama przestała być potrzebna, sprzedaż i tak się nie opłaci, do naprawy i tak klienci pchają się długimi rzędami. Wielkie zegary nad ulicą wisiały jeszcze tu i ówdzie parę lat, nie miał ich kto konserwować i regulować, dobrze jeśli miał kto zalepić paskami papieru na krzyż gwoli nie wprowadzania w błąd przechodniów, śpieszących do pracy.

Wreszcie zdjęto martwe i pordzewiałe makiety, zdjęto po sześciuset latach służby publicznej: pierwszy taki zegar wywieszono podobno w połowie czternastego wieku, we francuskim mieście Caen, co wówczas było pierwszym widomym znakiem kształtującego się, ledwie uświadamianego poczucia czasu i jego wartości na co dzień. Daleko było wtedy z Caen do Polski, nie wiemy, kto pierwszy i gdzie — prawdopodobnie w Krakowie poszedł w ślady francuskiego mistrza. Chwilami mamy nawet wrażenie, że do dziś nie pobrataliśmy się na dobre z poczuciem czasu i nie doceniliśmy jego wielkiej użytkowej wartości. Wystarczy, że każdy ma na ręku własny czas. Cudzy nie liczy się zupełnie, cudzy nas nie obchodzi. Za wspólny punkt wyjścia — żeby już całkiem nie stracić możności spotkania się z tym, czy owym, potrzebnym nam człowiekiem — wystarczy południowy hejnał z Wieży Mariackiej w niedzielę.

— Jeśli mój zegarek pokazuje piątą, a jest trzeci wtorek miesiąca, to znaczy, że jest szósta za pięć — mawiał pewien młody człowiek. Na pociąg się nie spóźnia, bo pociągi się spóźniają. Przyjść na konferencję pół godziny wcześniej, czy później, nie robi różnicy, dyrektora i tak, albo jeszcze nie ma, albo już go gdzieś wezwali. Czy zegarek chodzi idealnie, czy nie — i tak nie ma czasu na nic. Oczywiście z wyjątkiem patrzenia w telewizor, gdzie też nic nie zaczyna się i nie kończy punktualnie. Jeśli wskazówka zaczyna robić trzydzieści okrążeń na dobę, jeśli spóźnia się co miesiąc o tydzień — nie da rady, idziemy jako ludność z prośbą o usługę. — Proszę zostawić, za trzy tygodnie będzie gotowy. Nie jest gotowy. Po następnym tygodniu też nie. Po jeszcze następnym mistrz w białym fartuchu wygrzebuje na naszych oczach naszą omegę spod sterty różnego drobiazgu i na naszych oczach dłubie w nim przez chwilę igiełką. — Proszę — mówi. — Pięćdziesiąt złotych. Nie wiem, czy będzie chodził. — Widzi pan, że w tej chwili chodzi. Dajemy przecież gwarancję.

Zegarek przeważnie staje, a zaczyna chodzić jego posiadacz. Pięć, osiem, dwanaście razy. Za każdym razem to samo: lupka w oko, cyk, cyk igiełką, gotowe, proszę. Bezpłatnie. W ramach gwarancji. Wystarczy przynieść i poprosić. Czyli właśnie za cenę tego dwunastokrotnego przyjścia i przyniesienia, co wymaga w sumie iluś tam godzin... Prawda, godziny się nie liczą. Kiedyś w Poznaniu przydzielono mi nocleg w prywatnym mieszkaniu, zastawionym dziesiątkami zegarów najróżniejszego kalibru. Przez całą noc nie zmrużyłem oka, bo zegary biły, kukały, dzwoniły, brzęczały — każdy w innym momencie. Potem okazało się, że pan domu jest wziętym adwokatem, naprawiającym z zamiłowania zegary. Takie wieczorne hobby. Ładne hobby, chociaż teraz prosząc o kwaterę, pytam, jakie zamiłowania kultywuje właściciel. Precyzja zegarowego mechanizmu, jego nadzwyczajna czułość, jego przysięgłe powiązanie z wielką, uniwersalną tajemnicą Czasu, Przemijania, Wieczności — fascynuje niejednego, przy czym znów zdumiewa fakt, że ani zawodowo, ani z amatorstwa nie garną się do zegarmistrzostwa kobiety. Może nie lubią mieć z Czasem do czynienia, wolą go nie dostrzegać, patrzeć mu nad głową, jak sąsiadce, z którą się wczoraj pokłóciły. Może mają rację?

Może lepiej w ogóle nie przypominać bliźnim o tej niewesołej sprawie: Przemijaniu. O terminach. O nadążaniu i nienadążaniu... Może to i dobrze, że nie ma już ulicznych zegarów?

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny). Karol Badziak (dział terenowy). Konrad Frejdlich (dział publicystyki). Roman Łoboda (poezja i proza). Andrzej Makowiecki (dział reportażu). Celina Paluch (redaktor techniczny). Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego). Jerzy Wilmański (dział kulturalny). Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6 zł, kwartalnie 16 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odpłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 2273. B-12.